Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.

ŁOWIEC POLSKI



Uspokojony.... Zdobycz gen. Cz. Jarnuszkiewicza. Zawiszcze, 1933 r.

ORGAN
POLSKIEGO ZWIĄZKU STOWARZYSZEŃ ŁOWIECKICH

Nr. 5 (745) 10 LUTEGO 1934 R.

PAŃSTWOWA WYTWÓRNIA PROCHU

PIONKI

POLECA NA BIEŻĄCY SEZON MYŚLIWSKI:

BEZDYMNY PROCH MYŚLIWSKI

„KUROPATWA"

lub naboje Warszawskiej Spółki Myśliwskiej, ładowane prochem „KUROPATWA"

jako najlepsze i najtańsze

oraz Bezdymny proch myśliwski — „SOKÓŁ"
Proch sztucerowy myśliwski — „DZIK"
Proch sztucerowy tarczowy — „KRÓLEWSKI"
Proch do broni małokalibrowej — „KRUK"
PROCH REWOLWEROWY — do broni automatycznej i zwykłej.

III-ci POKAZ TROFEÓW ŁOWIECKICH

ORGANIZOWANY Z OKAZJI

ZJAZDU MIĘDZYNARODOWEJ RADY ŁOWIECKIEJ

zostanie otwarty w dniu 14 kwietnia 1934 r.

Komitet Organizacyjny dokłada wszelkich starań, aby licznym myśliwym zagranicznym przedstawić łowiectwo polskie w całem bogactwie.

Niniejszem uprasza się posiadaczy pięknych i cennych trofeów bądź nagradzanych już gdziekolwiek, bądź też nigdzie nie wystawianych — o wzięcie udziału w Pokazie.

Informacyj udziela:

KOMITET ORGANIZACYJNY III POKAZU TROFEÓW ŁOWIECKICH
codziennie w godz. biurowych w lokalu P.Z.S.Ł. Nowy Świat 35, tel. 666-151607-98.

Zamawiajcie!

KALENDARZ MYŚLIWSKI

NA ROK 1934

oprawiony w płótno ze złoceniami — **KALENDARZ** ten zawiera prawo łowieckie, fachowe wskazówki hodowlane i informacje z zakresu łowiectwa, obowiązujące przepisy prawne, niezbędne dla myśliwych, tabele czasów ochronnych, opracowane na podstawie ostatnich rozporządzeń, oraz informacje organizacyjne, handlowe, wreszcie dane opracowane przez WŁODZIMIERZA KORSAKA o zwierzynie łownej w Polsce p. t.

„MYŚLISTWO POLSKIE".

Cena egzemplarza zł. 3.—

Aby uniknąć niewspółmiernie wysokiego kosztu zaliczenia pocztowego, wpłaty należy dokonać jednocześnie z zamówieniem Kalendarza na konto P. K. O. Nr. 8.082 w kwocie zł. 3.— plus koszty przesyłki groszy 50.

REDAKCJA I ADMINISTRACJA Warszawa, ul. Nowy-Świat Nr. 35, tel. 687-98.



Przed strzałem za linję. Fot. T. Ks. Czartoryska.

CZEM MA BYĆ PARK NARODOWY TATRZAŃSKI.

Wśród dyskusji na temat naszych parków narodowych, a w szczególności Parku Narodowego Tatrzańskiego, pojawiają się czasem głosy, oświetlające zagadnienia tych parków w mylny sposób. Biorąc udział w akcji górskich parków narodowych w charakterze delegata Państwowej Rady Ochrony Przyrody, oraz wiceprezesa Zarządu Głównego Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego, pragnę zabrać głos celem wyjaśnienia stanu rzeczy.

Wszelkie prace, związane z tworzeniem parków narodowych w Polsce, odbywają się od lat jawnie i na widoku opinji publicznej. Świadczy o tem ogłaszanie wszelkich uchwał i postanowień w tej sprawie, oraz liczne publikacje.

Taką podstawową publikacją Parku Narodowego Tatrzańskiego był protokół przedstawicieli nauki polskiej i czechosłowackiej, zebranych w Krakowie w dniach 8 i 9 grudnia 1925 r. z inicjatywy Polskiej Akademji Umiejętności i Czeskiej Akademji Nauk, ogłoszony w roku 1926 drukiem. W protokóle czytamy (str. 3), że naczelnem zadaniem Parku Narodowego Tatrzańskiego ma być:

1) Uczynienie Tatr po obu stronach granicy miejscem przyciągającem ruch turystyczny obu państw oraz cudzoziemski osobliwością i pięknością górskiej, pierwotnej, niczem nie zniszczonej przyrody i polem badań naukowych.

2) Utrzymywanie i rozwijanie na tych obszarach racjonalnej gospodarki leśnej, łąkowej i łowieckiej.

Już to określenie naczelnych zadań Parku Narodowego Tatrzańskiego oznacza wysunięcie na pierwszy plan programu parku, jego celów turystycznych oraz zapewnienie, obok zadań naukowych, wykonywania na obszarze parku niezbędnych prac gospodarczych.

Zasady protokółu, rozwijane i ulepszane na dalszych posiedzeniach i zjazdach przedstawicieli obu społeczeństw, były też rozpatrywane przez miarodajne organizacje turystyczne obu stron, a przedewszystkiem przez Polskie Towarzystwo Tatrzańskie i Klub Czechosłowackich Turystów, które wykonują gospodarkę turystyczną w górach. Porozumiano się również i uzgodniono sprawę z głównemi organizacjami narciarskiemi obu stron. O ile wyłaniają się jakieś zagadnienia terenowe, uzgadnia się je szczegółowo na posiedzeniach z góralskimi współwłaścicielami hal, jak np. z komitetem współwłaścicieli Hali Gąsienicowej.

Przy tak pojętej akcji współdziałania czynników społecznych, turystycznych oraz miejscowej ludności, można jasno określić stanowisko nasze wobec rozmaitych wersyj i nieporozumień, krążących na temat parku narodowego.

A więc nie leży w programie parku zamykanie Tatr dla turystów. Żadna instytucja kulturalna ani turystyczna nie powzięła takiej uchwały, ani nie wyraziła takiej opinji. Również ja, jako czynny od szeregu lat taternik, turysta i narciarz, nigdy nie zgodziłbym się na takie tendencje. Park Narodowy Tatrzański ma służyć dla ludzi, ma być typem parku narodowego amerykańskiego, gdzie użytkowanie turystyczne wysuwa się na pierwszy plan, a nie szwajcarskiego, służącego wyłącznie niemal dla celów naukowych. Jedynie w niewielkich częściach Tatr, o mniejszem znaczeniu turystycznem, mają być zaprowadzone rezerwaty zupełne i tylko tam będą wprowadzone pewne ograniczenia w ruchu turystycznym w postaci chodzenia po określonych ścieżkach i t. p. Ma to na celu umożliwienie turystom oglądania zwie-

rzyny górskiej, która przy bezładnem chodzeniu turystów po górach ucieka przed człowiekiem. Ale i do tych partyj będzie dozwolony wstęp dla turystów, a nawet dla masowych wycieczek, pod odpowiedniem kierownictwem. Określenie, które to będą partje Tatr, nastąpi przy całkowitem porozumieniu się ze wszystkiemi zainteresowanemi czynnikami. Gwarancję, że tak będzie, daje fakt zamierzonego powołania do Komisji Parku Narodowego Tatrzańskiego przedstawicieli sfer turystycznych oraz czynników miejscowych, o czem pisałem już w jesieni 1933 r. w artykule o „Utworzeniu pogranicznych parków narodowych" w roczniku P. T. T. „Wierchy".

Znoszenie pewnych barwnych szlaków w Tatrach nastąpiło na podstawie uchwał Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego, z powodu przeładowania Tatr ścieżkami w sposób nieproporcjonalny do podobnych obszarów alpejskich, oraz od strony czechosłowackiej Tatr. Natomiast podjęło Towarzystwo Tatrzańskie wielkim kosztem i trudem rozbudowanie głównych ścieżek tatrzańskich, hołdując zasadzie mniejszej ilości szlaków dobrych, a nie nadmiernej ilości źle utrzymanych. Jednak i na niektórych szlakach turystycznych, jak np. przez Pańszczycę na Krzyżne, gdzie projektowany jest rezerwat dla zwierzyny i gdzie zniesiono znaki kolorowe, ma być ruch turystyczny utrzymany. Nikt z miarodajnych czynników turystycznych nie myśli o znoszeniu Orlej Perci. Co do schronisk powzięły miarodajne organizacje turystyczne uchwały, idące w kierunku niemnożenia nadmiernego ilości schronisk ze względu na mały obszar Tatr, ale natomiast poprawienia ich jakości i powiększenia rozmiarów.

Uchwałę do ograniczenia wycieczek młodzieży szkolnej niżej lat 16 powzięła konferencja turystyczno - narciarska, zwołana przez Państwowy Urząd Wychowania Fizycznego w Warszawie nie ze względu na ochronę przyrody, ale — na zdrowie młodzieży. Chodzi tu jednak tylko o wycieczki masowe i tylko w Wysokie Tatry.

Koła taternickie polskie hołdują ze szczególnym zapałem idei ochrony przyrody i utworzeniu Parku Narodowego Tatrzańskiego. Wyrazem tego są wielokrotne enuncjacje tych kół. Koła taternickie zwracają się podobnie zresztą, jak większość towarzystw turystyki górskiej na świecie, ze szczególnym naciskiem przeciw projektom kolejek na szczyty górskie.

Co do pobierania wstępów do parków narodowych, Zarząd Lasów Państwowych pragnie jedynie pobierać małe opłaty za wstęp do reezrwatów zupełnych, jaki np. powstaje w Czarnohorze na niewielkim, 2000 ha obejmującym obszarze, przyczem zaznaczam, że sprawa tych opłat nie jest jeszcze zdecydowana. Opłaty te mają iść na cel utrzymywania rezerwatu. Sądzę zaś, że każdy turysta chętnie złoży minimalną opłatę, jak to się dzieje dzisiaj w Parku Narodowym Białowiezkim, jeżeli za to otrzyma widok wspaniałej świątyni nietkniętej przyrody, na której utrzymanie wszak trzeba łożyć. Pobieranie wstępu do całości Parku Narodowego Tatrzańskiego nie jest wogóle przewidziane. Ewentualne opłaty wstępu, o ile wogóle będą w Tatrach wprowadzone, ograniczone zostaną jedynie do małych rezerwatów zupełnych, i to po uzgodnieniu tej sprawy z wszystkiemi zainteresowanemi czynnikami.

Zagadnienie zupełnej swobody w górach uległo niestety zmianie. Dopóki po Tatrach chodziła niewielka ilość ludzi, można było pozostawić całkowitą swobodę wszystkim chodzącym po Tatrach, gdyż nawet jednostki, zachowujące się w górach nieodpowiednio, przynosiły Tatrom minimalne szkody. Przy olbrzymim jednak ruchu dzisiejszym w Tatrach musi się zaprowadzić pewien porządek. Wszak można pozostawić bez nadzoru ruch w mało zaludnionej wiosce, ale trzeba opiekować się ruchem na ulicach gęsto zaludnionego miasta. Sprawę tę da się jednak uporządkować w Tatrach bez uciekania się do środków zbyt przykrych, poprostu przez wprowadzenie Straży Górskiej z udziałem w niej turystów. Straż taka funkcjonuje np. w najgęściej przez turystów odwiedzanych częściach Alp Wschodnich, a w szczególności w wielkim austrjackim rezerwacie Karwendel — z doskonałym skutkiem.

Pasterstwo w Tatrach ma pozostać i ma być otoczone opieką, jako nierozerwalna część składowa Tatr; nie potrzeba na ten temat dyskusji i wielokrotnie to publicznie podkreślaliśmy. Ale musimy stwierdzić, że niektóre partje Tatr, jak np. otoczenie Dol. Jaworzynki, lub części Tatr Bielskich, zostały zniszczone przez złą gospodarkę leśną i pastwiskową. W takich wypadkach koniecznem jest uporządkowanie stanu rzeczy, czy to przez zalesienie, czy to racjonalizowanie pasterstwa. Szczegóły tych spraw będzie się rozpatrywało na Komisji Parku Narodowego Tatrzańskiego, oczywiście w pełnem porozumieniu z przedstawicielami zainteresowanych czynników góralskich.

Wszyscy, nawet przeciwnicy tworzenia Parku Narodowego Tatrzańskiego, godzą się na to, że stan dzisiejszy w Tatrach i ich otoczeniu jest niezadowalający. Wspaniałej przyrodzie tatrzańskiej, głównej wartości ideowej i gospodarczej Tatr, grożą rozliczne niebezpieczeństwa. Trwałe uchylenie tych niebezpieczeństw da się osiągnąć najlepiej w parku narodowym o celach głównie turystycznych, obejmującym obie strony Tatr. Najpewniejszem jednak zabezpieczeniem piękna Tatr i realizacji parku jest zakupno terenów na własność przez instytucję, dającą gwarancję stałej, należytej ochrony Tatr. Idea ta nie jest nową. Już przed 50-ciu laty Towarzystwo Tatrzańskie pod wrażeniem zniszczenia Tatr zawiązało osobne Towarzystwo Ochrony Tatr, które zbierało pieniądze na wykupno Tątr z rąk spekulantów, a wybitny wielkopolski działacz turystyczny, piszący pod pseudonimem X. Wielkopolanin, ogłosił artykuł w „Pamiętniku Tow. Tatrzańskiego", nawołując do utworzenia z Tatr Parku Narodowego im. A. Mickiewicza na wzór Parku Yellowstone. Grożące Tatrom niebezpieczeństwo uchylił ś. p. W. hr. Zamoyski, kupując dobra zakopiańskie na licytacji, za co dziękowała mu gorąco osobna delegacja Towarzystwa Tatrzańskiego.

Dzisiaj stworzona przez ś. p. W. hr. Zamoyskiego Fundacja Kórnicka znalazła się w tak trudnej sytuacji finansowej, że nie mogła podołać swym ideowym zadaniom w Tatrach. W innych zaś częściach Tatr prowadzono niszczycielską gospodarkę. W tej ciężkiej chwili uratował sprawę Rząd Polski, zakupując dobra tatrzańskie Fundacji Kórnickiej, oraz część innych obszarów celem zabezpieczenia ich od zniszczenia w formie parku narodowego. O cenie kupna 9.000 ha obszarów tatrzańskich poczęły krążyć przesadzone wieści. Otóż, jak nam wiadomo, cena ta, wynosząca w sumie ponad 4,000.000 zł., obciążyła skarb państwa, a w szczególności Zarząd lasów państwowych, wypłatą gotówkową w roku bieżącym tylko kilkuset tysięcy złotych. Reszta ceny kupna zostanie pokryta jużto drogą odpowiednich operacyj bezgotówkowych, jużto kredytowych. Zakupno lasów tatrzańskich przez Rząd Polski na rzecz parku narodowego napełniło koła turystyczne i kulturalne Polski najwyższą wdzięcznością dla Rządu, czemu dały te koła wielokrotnie wyraz. Wszak zakupno to oznacza jednorazowy wkład w ukochany przez naród skarb przyrody tatrzańskiej: inwestycja taka zabezpiecza raz na zawsze przyszłość Tatr dla kultury i turystyki polskiej.

DR. WALERY GOETEL.

NIEDŹWIEDŹ.

(Nowela z lat dawno minionych).

Państwu Romanostwu Lasockim utwór ten poświęcam.

Już bodaj po raz dziesiąty pan Adam opędzał się od tej samej, utrapionej muchy. Z uporem, godnym lepszej sprawy, powracała ciągle, by lokować się w miejscach ze wszechmiar niepożądanych. To siadała na lewem uchu, by je połaskotać swemi drobnemi łapkami, to obierała sobie okolice prawego oka, to znów atakowała nos. Już, już zdawało mu się, że ją odpędził na dobre, już myślał, że teraz zaśnie, gdy nieproszony ten gość znów zabrzęczał gdzieś w pobliżu.

— Poczekaj-że ty, ja tobie dam! — zawarczał groźnie pan Adam. — Zasnąć przez ciebie, przeklętą, nie można — i z przygotowaną do uderzenia dłonią czekał.

Tym razem mucha obrała za pole działań wojennych sam środek okazałej łysiny pana Adama, który podniesioną prawicę opuścił na głowę swą raptownie i z wielkim trzaskiem. Przez chwilę macał palcami, by się przekonać, czy natrętny owad tym razem został pokonany, a stwierdziwszy, że niema nic pod jego ręką, mruknął, do reszty już wybity ze snu:

— Isz ty jął niedarmo mówi się, że chytry, jak mucha!

Zwlókł się ociężale z fotela, w którym siedział dotychczas i, wyszedłszy przed werandę, usiadł na znajdującym się tam kamieniu.

Było to jedno z tych sierpniowych popołudni, kiedy natura zdaje się oddycha, jak człowiek ciężko spracowany. Cisza była taka, jak tylko w sierpniu panować może. Zrzadka tylko mącił ją klekot gotujących się do odlotu bocianów, odgłos spadającego w głębi sadu owocu, lub brzęk drobnego żuczka, spieszącego gdzieś za swemi pilnemi sprawami.

— Pięknie to jednakże na dworze —pomyślał pan Adam. Raptem kontemplację jego przerwał dźwięk otwieranej w głębi sadu furtki, który wdarł się w panującą dokoła ciszę, jak dysonans pierwszych skrzypiec w orkiestrze.

— I kogoż to djabli niosą? — mruknął pan Adam, odwracając głowę w stronę, skąd ów odgłos pochodził i przysłoniwszy oczy ręką od słońca, świecącego prosto w twarz, począł z natężeniem wpatrywać się w głąb ciemnej alei leszczynowej, skąd miał nadejść ów przybysz. Niebawem ujrzał sylwetkę swego gajowego Iwana, wynurzającą się z poza pobliskiego zakrętu. Nietyle zdziwiła go ta wizyta o tak niezwykłej porze, ile nadzwyczajny pośpiech, z jakim flegmatyczny zazwyczaj Iwan szedł w jego stronę.

Był to chłop rosły, o twarzy czerstwej i zdrowej, okolonej bujnym, czarnym, jak smoła, zarostem. Z pod nisko nawisłych czarnych brwi patrzyło dwoje chytrych oczu, jak u lisa. Cała postawa zdradzała teraz alterację nielada.

— I czaho ty biażysz, jakby ciabie czerci hnali? — spytał go niezbyt uprzejmie po białorusku pan Adam.

Zagadnięty w ten sposób Iwan zdołał wykrztusić ze swych płuc tylko jedno słowo:

— Miadźwiedź!...

Gdyby drzewa owocowe w rozległym sadzie Iwandarskim zaczęły raptem tańczyć kozaka, nie zrobiłoby to takiego wrażenia na panu Adamie jak to jedno słowo. Usta otworzył, rękę przyłożył do ucha i tak trwał długą chwilę. Potem głosem pełnym nieufności spytał:

— Niedźwiedź? Gdzie, jaki niedźwiedź?!

— Owies popod lasem naczysto zdratował — odrzekł Iwan, który zdołał już nieco odsapnąć. — Pałatki ja już zrobił, tylko siadać. Trzebaby i po pana Henryka posłać. On też pewno zechce na niedźwiedzia poochocić się —dodał potem nieśmiało.

Na takie dictum wigor i energja wstąpiły raptem w ociężałe po sutym obiedzie ciało pana Adama. Wstał z kamienia, wyprostował się i huknął:

— Iwan, pojedziesz konno po pana Henryka! — i, przeskoczywszy w kilku susach schody, prowadzące na werandę, zawołał zkolei w głąb domu:

— Fiedźka, wałkoniu jeden, tutaj, a żywo!

Fiedźka, kredensowy chłopiec, o twarzy okrągłej, jak jabłko i jak jabłko rumianej, wyskoczył ze stołowego pokoju na werandę.

— Co pan każe?

— Strzelbę natychmiast kulami nabić. A patrzaj, żeby mi proch dobrze do brandek zaszedł. Pistony weźmiesz te, z okrągłego pudełeczka.

— Słucham! — zawołał ochoczo Fiedźka, czując, że gotuje się coś niezwykłego.



Oszadrowany ostęp. Fot. R. ks. Czetwertyńska.

Po pół godzinie pan Adam stał przed gankiem już zupełnie gotowy do drogi. Mamy teraz chwilę czasu, by się przyjrzeć naszemu bohaterowi. Pan Adam jest mężczyzną lat około 45, postawy okazałej i potężnej tuszy. Głowę ma rasową, rzymski nos, cokolwiek czerwony na końcu, co jest nieomylnym znakiem pewnej skłonności do spirytualjów. Oczy, patrzące z pod krzaczastych brwi, ma niebieskie, jakby trochę blade i pociągnięte lekką mgiełką. Twarz okala mu blond broda, niezbyt długa i rozdzielona u końca, górną zaś wargę sumiasty wąs, nieco zżółknięty od dymu tytoniowego. Ubrany jest obecnie w swój strój myśliwski, składający się z szarej, samodziałowej kurty i takichże szerokich spodni, wpuszczonych w długie, juchtowe buty. Na głowie ma kapelusz z piórkiem cietrzewiem, zatkniętem ztyłu. Stroju dopełnia piękna, kapiszonowa dubeltówka, zawieszona na ramieniu i kordelas, przytroczony do pasa.

— Cóż to pan Henryk nie jedzie? — niecierpliwił się pan Adam. — Już słońce na zachód się chyli, prędko na pałatki czas będzie siadać.

Po kilku jeszcze minutach oczekiwania rozległ się w lipowej alei turkot kół i niebawem wtoczyła się przed ganek kałamaszka pana Henryka, który mieszkał o parę wiorst od Iwandaria. Pan Henryk wyskoczył z niej lekko na piasek podjazdu. Był to mężczyzna w podeszłym wieku, lecz pomimo to żywy, jak młodzieniec i prosty, jak trzcina. Twarz miał goloną, o nieco ostrym wyrazie, który złagodzony był przez spojrzenie, nieskończenie dobre i wesołe. Pan Henryk słynny był na całą okolicę ze swego daru opowiadania. Przesadzał często niezwykle, lecz czynił to w sposób tak naiwny i miły, że wzbudzał tem tylko wesołość.

Przywitanie było krótkie, lecz serdeczne. Panowie ucałowali się parokrotnie, uścisnęli sobie dłonie i cofnęli się następnie o pół kroku, niby, żeby się lepiej sobie przyjrzeć.

— Cóż to wasze nie zajeżdżasz do nas? — spytał po krótkiej chwili pan Adam. — Zmizerniałeś mi wasze od czasu, gdym cię ostatni raz widział. A do lisa to, jak słyszę, spudłowawszy w zeszłym tygodniu?

Pan Henryk, dotknięty w swe słabe miejsce, odciął się jadowicie:

— A sam to wasze jak strzelasz? Sosna, ot, sążni pięćdziesiąt, a słonka dwa razy tyle nad nią leci, on w biały świat, jak w kopiejkę, łupi raz i drugi. A na drugi dzień przyjdź na ta miejsca, tak patrony kupkami sztuk po pięćset walają się po całym lesie. A słonki ani jednej.

— Po pierwsze to ja nie z patronówki, a z pistonówki strzelam, a po drugie to ty, brateńku, łżesz jak najęty. Ja widziałem ludzi, którzy breszą, jak sam czasami zbrechnąć potrafię, ale tak, jak ty breszesz, to nikt na świecie nie potrafi.

— No, dobrze, już dobrze — rzekł pan Henryk z miną nieco skonfundowaną. — Czas jechać — dodał następnie, dla odwrócenia tematu rozmowy.

Pan Adam wwindował się pierwszy na bryczkę, za nim pan Henryk, na koźle obok furmana przykucnął Iwan, który tymczasem konno przyczłapał, i pojazd ruszył. Z początku droga szła pomiędzy polami, upstrzonemi kopami napół już zżętego żyta, później wyjechano na trakt, wysadzany sędziwemi brzozami i niebawem zagłębiono się w las. Przedwieczorny wietrzyk, który zbudził się właśnie, lekko muskał czuby niebotycznych świerków, więc gwarzyły sobie cichutko, wspominając lepsze czasy, gdy siekiera jeszcze nie przetrzebiła zwartych ich szeregów. Lecz pomimo to las wznosił się tu jeszcze na kształt dwu ścian, pozostawiając wolny pas nieba nad samym tylko traktem.

— A jakiż ten niedźwiedź, kiedy on tam wychodził? — spytał pan Henryk, zwracając się do Iwana.

— A dzisiejszej nocy buszował, całe pole naczysto zdratował, — odparł zagadnięty.

— No, to my już jemu damy bobu!

— Nie każy hop, pakul nia pieraprygniesz—ozwał się sentencjonalnie pan Adam.

— Małom to ja ich zabił, musić sztuk siedemdziesiąt będzie!

— A wszystko breszesz i breszesz, jakby kto tobie za to płacił.

— Jak Boh świat, jak sprawiedliwyj czełowiek! — zaklął się pan Henryk.

Tak rozmawiając, wyjechali na pole, na którem widniała chata Iwana. Nie było ono zbyt duże, okolone ze wszystkich stron lasem. Na prawo, pod olszyną było owo owsiane poletko, na którem zeszłej nocy buszował niedźwiedź.

— Do chaty zajeżdżać nie będziem — rzekł pan Adam, zwracając się do Iwana. — Prowadź prosto do pałatek, późno już!

— Podjechać trzeba pod sama sosna, — odparł Iwan — bo inaczej on ślad poczuje i nie podejdzie.

— No to jedziem pod sosna.

Po paru minutach bryczka podjechała pod ambonę. Była ona urządzona na rosochatej, polnej sośnie; składała się z luźno ułożonych na dwóch sosnowych gałęziach tyk.

— Kiepskie pałatki ty zrobił, Iwan — rzekł pan Adam. — Tego tylko i patrz, pospadamy wszyscy.

— Nie spadniem, panoczku, nie spadniem, trzeba tylko środka trzymać się.

— A siana czy aby dobrze namościłeś?

— A jakże nie dobrze? Trzy biaremy przyniósł I drabina jest.

— No to leź pierwszy.

Iwan wwindowan się na ambonę, wzniesioną nad ziemią o dobre półtora sążnia. Za nim wgramolił się pan Henryk, ostatni zaś, postękując, począł włazić pan Adam.

— A drabina czy aby mocna? Trzeszczy jakoś.

— Mocna, panoczku, mocna. Zeszłego roku sam pan felczer Załęski po niej łaził, a cięższy będzie od pana pudy o dwa z połową.

— Daj mi rękę, taki synu, bo nie wlezę!

— Uf! — odsapnął pan Adam, znalazłszy się już na górze.

— To jednakże fatygująca rzecz. Ruszaj — rzekł do furmana.

— Do Iwana zajedziesz. A przyjedź tutaj, jak tylko strzał posłyszysz.

— A łubkę z zapasami i wypitką czy wzieliście? — spytał pan Henryk.

— Jest, jest — odparł Iwan. Ja takiej rzeczy nikoli nie zapomnę.

Roztasowawszy się wygodnie na ambonie, panowie poczęli umawiać się co do kolejności strzałów, jeden drugiemu ustępując, choć w głębi duszy każden z nich miał ochotę strzelać pierwszy. Stanęło wreszcie na tem, że będą strzelali razem.

— Wartoby i do kobiałeczki zajrzeć — rzekł wreszcie pan Adam.

— Słońce już prędko zajdzie, to i czas po temu. Mnie już zupełnie mdło od głodu zrobiło się.

Zajrzano więc do kobiałeczki. Okazała się w niej mnogość wielka wszelakich zapasów. A więc była tam pękata butelczyna starki czterdziestoletniej, słynnej na całą okolicę, i półgęsek tłusty, wędzony w jałowcowym dymie, i osełeczka doskonałego, pachnącego masła, i wędlin wybornych sporo, i wreszcie bochenek chleba.

— W ręce pańskie — rzekł pan Henryk, nalewając kieliszek i podając go panu Adamowi.

— Za pańskie zdrowie — odparł pan Adam, biorąc ostrożnie czarkę w swe pulchne palce i, przyłożywszy ją do ust, odchylił głowę daleko wtył.

— Zacna starka! — mruknął. — Takiej to i sam gubernator nie pije.

Z zachowaniem poprzedniego ceremonjału kieliszek powędrował do pana Henryka.

— Co gubernator! I u cesarza takiej wódki nie dostaniesz!

Tak przekąsując i gwarząc, potrosze wypito osiem kolejek.

Iwan tymczasem łykał ślinkę, przypatrując się panom z pod oka i czekając aż pozwolą mu wziąść udział w posiłku.

— To dla ciebie, Iwan! — rzekł wreszcie pan Adam, podając mu do trzech czwartych opróżnioną butelkę i kawałek półgęska z chlebem.

Iwan zabrał się łapczywie do picia i jedzenia. Przyłożył butlę do wąsów i, odchyliwszy się daleko wtył, jął powoli sączyć szlachetny płyn, by ani trochę wybornego smaku nie stracić. W miarę, jak butelka się opróżniała, przechylał się coraz bardziej,

aż mu żyły na czole nabrzmiały i oczy krwią zaszły. Wreszcie, gdy już w naczyniu nic nie było, oderwał je od ust, odetchnął głęboko i rzekł:

— Dobraja wodka! Tolki mała jaje było!

— Isz ty jego! — oburzył się pan Adam. — Tobie i wiadro dać, i toby jeszcze krzyczał „mało!".

— Wiadro, nie wiadro — odparł smętnie Iwan — ale kwarta toby się przydała.

Tymczasem słońce, jakby nieciekawe dalszego ciągu, poczęło zwolna zataczać się za las. Czerwone, jak dobrze wyczyszczony rondel miedziany, ubarwiło purpurą pole owsa, który lekko falował na wietrzyku. Daleko, w lesie olchowym tęsknie zakwiliła czarna żołna. Na polu nawoływały się kuropatwy.

Nastrój przyrody, układającej się do snu, udzielił się widocznie i naszym Nemrodom, bo pan Adam, przeciągnąwszy się potężnie, mruknął:

— Cości spać się chce. Przyłóżmy się trochę, panie Henryku. Jak przyjdzie niedźwiedź, to Iwan nas obudzi.

— Cóż, można.

I nasi panowie usnęli niebawem snem spokojnym, jaki tylko spokojne sumienie i wypite przedtem osiem kolejek dać może.

Iwan, pozostawiony na straży, usiadł, oparłszy się plecami o pień drzewa. Zmrok szybko zapadał. Z szumem przeleciały nad samą sosną dzikie kaczki. Usiadły na pobliskiem bajorku i poczęły naradzać się tam nad jakąś niezwykle ważną kwestją. Można to było z łatwością wywnioskować z intonacji ich głosów.

— Ot, hady! — pomyślał sobie Iwan. — Jak nie na niedźwiedzia siedzisz, to nigdy ich tutaj niema.

W oddali poczęły zbierać się czarnosine zwały chmur, oświetlane od czasu do czasu błyskawicami. Powietrze stało się parne i duszne tak, że pot spływał obficie z Iwanowego czoła.

— Buria będzie — szepnął cicho. — Music tylko nie prędko — pod ranna zorza.

Upał i wypita wódka poczęły i na nim wywierać swój wpływ. Kiwnął się raz i drugi, raptownie się podrywając, pomny swej funkcji, lecz wkońcu i jego sen zmorzył.

— Wauki jako zajesz! — mruknął, mając na myśli niedźwiedzia i zapadł w głęboki sen.

Zbudził się nagle. Musiał spać dobre kilka godzin, bo zorze wieczorne już zgasły zupełnie i księżyc wytoczył się na niebo. Zrazu nie zdawał sobie sprawy, gdzie się znajduje, lecz, namacawszy ręką swą strzelbinę, oprzytomniał. Toż to panowie zasnęli i kazali mu pilnować, aż niedźwiedź przyjdzie. Lecz co to? Gdzieś z bardzo bliska dochodzi go odgłos jakiegoś mlaskania i mruczenia. Niedźwiedź! Ale gdzie? Księżyc jasno oświetla całe pole, a nie widać go ani śladu. Nagle, jak błyskawica, nasunęła mu się myśl:

— Niedźwiedź jest pod pałatkami!

Zkolei nasunęła się druga:

— Budzić panów, czy nie budzić?

— Nie budź, niech sobie śpią — szeptał mu do ucha czart. — Panowie pokrzyczą, a niedźwiedzia taki zabijesz. Nie budź!

Pokusa była zbyt silna dla odporniejszego nawet sumienia, niż Iwanowe. Ostrożnie, żeby zwierza nie spłoszyć, podniósł swą jednorurkę, odprowadził kurek i zwolna począł pełzać ku brzegowi ambony. Zadanie było trudne. Mógł pełznąć tylko wzdłuż tyk, by nie budzić panów. Powoli, nasłuchując, skradał się Iwan. Już brzeg ambony blisko, już za chwilę ujrzy upragniony łup... gdy nagle...

Ciężar Iwanowego ciała przeważył niczem nie umocowane tyki.

Z okropnym trzaskiem runął cały kunsztownie wybudowany gmach. Iwan krzyknął strasznie i kurczowo zacisnął dłonie, przygniatając cyngiel. Huknął ogłuszający strzał i wszyscy trzej polecieli na ziemię.

Pan Adam, tak brutalnie i raptownie zbudzony ze snu, z wielkim krzykiem pędził wprost w pole. Pan Henryk siedział na ziemi, powtarzając tylko nieprzytomnie:

— Co? Co się stało?

Niedźwiedź, jak wiadomo, zwierzę bardzo płochliwe, ze strachu zmylił kierunek i rwał z kopyta wprost w pole, ku Iwanowej chacie. Niebawem zniknął w ciemnościach nocy.

Pierwszy przyszedł do siebie pan Adam. Odbiegł był od miejsca wypadku o dobre pięćdziesiąt kroków, powracał więc teraz jak burza, brzemienna gromami.

— Ty psi synu! — zasyczał, zwracając się do Iwana. — Czemużeś nas nie zbudził, a sam strzelał?

— Ja? Czemu panów nie budził? Czemu sam strzelał?

— Nie pytaj, lecz odpowiadaj — wrzasnął pan Adam.

— A temu, panoczku, że niedźwiedź już do nas na pałatki lazł. Ja patrza, aż jego ryło już z za pałatek wyłazić zaczęło.

— Łżesz, łżesz, jak pies! — krzyczał pan Adam. — W rekruty zdam, zaćwiczyć każę!

Iwan, widząc potężne pięści pana Adama, migające mu wcale niedwuznacznie przed oczyma, postanowił salwować się ucieczką. Wziął więc nogi za pas i drapnął do chaty, ścigany złorzeczeniami obu panów.

— Czyś wasze sobie aby nic nie uszkodził? zapytał pan Adam pana Henryka. — Coś siedzisz wasze na ziemi i nie ruszasz się?

— Mnie to nic. Ale wasze? To niebezpieczna rzecz przy twej tuszy taki gniew. Pleksja zabić może!

Nazajutrz pan Adam, siedząc w klubie, w powiatowem mieście, opowiadał zebranym tam panom przebieg zdarzenia, naturalnie nieco zmieniony. W chwili, gdy doszedł do miejsca, w którem miał rzekomo celnym strzałem niedźwiedzia położyć, zawołał:

— Taka była bestja wielka, że włosy mi na głowie dęba stanęły!

— Chyba nie na głowie — szepnął pan Zygmunt do pana Wacława, zerkając z pod oka na okazałą łysinę pana Adama. Powiedział to jednak dość głośno, by go też ostatni usłyszał.

Zepsuło mu to humor do reszty.

OTTON PERESWIET-SOŁTAN.

Panów Prenumeratorów dawnych prosimy o łaskawe szybkie odnowienie prenumeraty na rok 1934, lub jego części. Jednocześnie prosimy Ich o propagowanie idei, którym służy nasze pismo i o zjednywanie mu coraz dalszych kół zwolenników.

Przypominamy, że warunki prenumeraty są obniżone.

Administracja.

NA ZEW KNIEI.

(Czaty na wilki).

Wilka ubił p. Leopold na czatach... grzmiało w lokalu Grodzieńskiego Towarzystwa Myśliwskiego.

A jaki?... owczarz, czy koniarz, ile waży, jaki długi, a co... a jak?... słowem, jak to zwykle wieczorami gwarzy się i dyskutuje w myśliwskiem gronie.

Po raz dziesiąty p. Leopold, wytrawny, stary myśliwy, choć milczek, opowiadać musiał szczegóły polowania nienasyconym towarzyszom z pod znaku św. Huberta. Nawet tradycyjny „tylko dla starszych" kunken nie miał w tym dniu powodzenia.

A mnie najwięcej chyba żal ściskał serce, gdyż zaproszony przez p. L. na czaty, ze względów służbowych nie mogłem z nim wyjechać.

Nie dałem jednak za wygraną.

Raz jeszcze przypuściłem szturm do serca p. L. tak, iż moje dyplomatyczne zabiegi uwieńczone zostały obietnicą: „pojedziemy we trójkę, ja z synem i pan major".

Trzeba było widzieć miny tych towarzyszy, którym mniej dopisało szczęście i czekać musieli *ad calendas graecas*.

Dostałem urlop świąteczny w drugiej kolei i wybrałem się na drugi kraniec Polski, bo z Grodna aż w krakowskie do matki, której dwa lata nie widziałem.

„Ale pamiętaj, że 5 stycznia o 15,50 wyjeżdżam z ojcem" — mówił Fred.



Trofeum mjr T. Z. Jakubowskiego

Gdybym nie mógł powrócić na czas, to zadepeszuję — odpowiedziałem, gdyż ochotników na moje miejsce było dosyć.

Pobyt w rodzinnem gronie mijał, jak z bicza strzelił. Stara matka i bracia zatrzymywali: „jeszcze na jeden dzień zostań, masz przecież urlop, co cię tak od nas goni".

A tu koło czasu nieubłaganie zrywało jedną po drugiej kartki z wiszącego w pokoju matki kalendarza.

Zbliżał się dzień 5 stycznia, dzień wyjazdu na czaty.

Wracać, czy zostać?... oto pytanie, które w ostatnią noc pobytu w domu matki spać mi nie dawało.

Majaczyły mi się wilcze cienie, widywane na obławach, to znowu dwie pary fosforyzujących ślepi ze wspomnień z walk karpackich, wreszcie jakieś wyszczerzone wilcze paszcze — olbrzymy.

To zdecydowało o mym wyjeździe.

Zew kniei silniejszy był, niż domowe pielesze i poczciwe troski matki o swego gościa — syna.

Wymówiłem się jakimś błahym, a rozbujanym do „służbowej ważności" powodem i bardzo skrupulatnie wziąłem się do studjowania rozkładu jazdy, (a był to już 4 stycznia), aby zdążyć na czas do Grodna.

Matka, poczciwina, widząc, że tak pilnie studjuję rozkład jazdy, uwierzyła w ten „służbowy" powód przedwczesnego wyjazdu.

Pośpiesznemi pociągami przez Kraków, Katowice i Warszawę podążałem do Grodna.

Niosło mnie na czaty — na wilki.

Wprost z dworca zajechałem do domu p. L., gdzie syn jego Fred pokazał mi pocztówkę od gajowego Cyprjana ze Stefaniszek.

Pisał on w polsko-białoruskim „języku", że „wołki panok kania roznieśli. Pryjeżżajtie, a to uże tolko zad ostałsia. Wołki prychodiat, ja sam sidieł w ziemlance i widał try sztuki. Treba kupić nowaho kania".

Słowem ta pewna wieść ze Stefaniszek przyśpieszyła nasz wyjazd.

Uzbrojeni i zaopatrzeni, dojechaliśmy koleją do stacji Mosty we trójkę.

Na dworcu czekał już na nas Stefan z saniami i powiózł do wsi, do chaty Michała na kwaterę.

Po drodze nasłuchaliśmy się opowieści, jak to oni (chłopi ze Stefaniszek) w nocy w obawie przed wilkami wyjeżdżają uzbrojeni w widły... a to znowu tam żyda wilki do młyna zagnały z powrotem, gdy wieczorem chciał wracać z odmiałem do domu... tu znowu „sobaku Michajłowu wołki na głazach porwali" i t. d.

Są więc wilki—gwarzyliśmy—ale czy dzisiaj właśnie przyjdą, skoro tak obżarły się koniny i wreszcie gdy przyjdą, czy można będzie trafić w taką chmurną i ciemną noc? Tylko p. Leopold twierdził uparcie, że wilki przyjdą i że około północy, choćby nawet nie rozchmurzyło się niebo, przy pełni dobrze będzie widać.

W chacie Michała, posiliwszy się przy szumiącym samowarze wyrobami sławnej w Grodnie masarni p. L., zanuciłem tak czule „kieliszek czystej wódki", że srogie serce strofującego nas starego myśliwego zmiękło i choć w drodze klarował nam, że nie trzeba pić, idąc na czaty, sam wypił z nami i to nie jeden czystej.

Za to przyrzekliśmy z Fredem, że palić nie będziemy, a zostawiwszy ostentacyjnie zapasy papierosów (coś tam jeszcze w papierośnicy zostało), jako namiastkę rozdzieliliśmy między sobą po bratersku pudełko cukierków.

Ubrani, jak na czaty, z termosem i manierką, o godz. 8-ej wieczór wpakowaliśmy się we dwójkę do sań. P. Leopold miał jechać na drugą noc.

Odwoził nas Stefan rzeczywiście z widłami, zaopatrzony w suchy nawóz, dla zasypania śladów po naszem wejściu do ziemianki.

W ciemną noc, że choć oko wykol, zdążaliśmy w dziki ostęp zamarzniętego bagna drogą, istniejącą tylko w zimie.

Czy widzisz ziemiankę? — zapytał w pewnym momencie Fred. Ale cóż mogłem widzieć, ziemianka tak jest świetnie zamaskowana, że zupełnie zlewa się z terenem.

Zobaczyłem na polu niedogryzione resztki konia, a tuż obok sani jakiś jałowiec i dębczaka z suchemi, szeleszczącemi na wietrze liśćmi.

Miejsce było trochę wyniesione, jakby suchsza wyspa wśród bagna, gdzieniegdzie porośniętego sośniną.

Dalej wokoło czerniały ściany większych jakichś lasów. Tylko droga, którą przyjechaliśmy od Stefaniszek, stanowiła niewyraźny wyłom w otoczeniu.

Nie schodząc z sań, Stefan odwalił rzekomy jałowiec i otworzył przysypaną śniegiem klapę, pod którą po drabinie zeszliśmy do ziemianki.

Lokując się już w ziemiance, słyszeliśmy jak zapadła za nami klapa, jak Stefan rozsypywał nawóz, wreszcie przez otwartą na chwilę okiennicę strzelnicy widziałem zmykającego wcwał do wsi Stefana.

Huczał wiatr i miótł nam w oczy drobne igiełki zmarzniętego śniegu.

Przed strzelnicami leżał wab na wilki — „rozniesiony koń".

Rozpatrzywszy się w terenie, zamknęliśmy okiennice i po chwili, widząc, że ziemianka jest szczelna i nie przepuszcza nigdzie światła zzewnątrz, przy latarce elektrycznej rozlokowaliśmy się przy strzelnicach.

Ja przy prawej, a Fred przy lewej strzelnicy, za którą ztyłu była nieszczęśliwa dlań drabina.

Ziemianka jest wygodna i tak obszerna, że do strzału można stać przy okiennicy, a pod przeciwległą ścianą ława pozwala na wygodne siedzenie czatujących.

Godziny oczekiwania w ciszy i bez rozmowy zaczęły nam się dłużyć. Umówiliśmy się szeptem, że kolejno, co 5 minut będziemy wyglądać przez strzelnice.

Kto pierwszy zobaczy wilka, ma prawo pierwszego strzału. Gdyby wilków było więcej, to ten pierwszy, wyda cichą komendę: „paaal".

I tak, popijając herbatę i kawę naprzemian, z cukierkiem w ustach, zamiast papierosa — czatowaliśmy przez trzy godziny.

Około wpół do jedenastej przyszła moja kolej na otwarcie okiennicy. Fred pytał o godzinę. Z trudem, przy okienku, odgadłem raczej, niż odczytałem, godzinę.

Tuż po zamknięciu okiennicy i usadowieniu się na ławie, wydało mi się, że słyszę chrzęst śniegu nad naszemi głowami.

Powtórzył się znowu — już bliżej...

Podałem to szeptem do ucha Freda.

Nie wierzył, twierdził, że to liście na dębczaku tak szumią.

Ale po nader ostrożnem otwieraniu okiennicy wyczułem, że i on liczy na to, że — a nuż to wilki...

Ze drżeniem oczekiwałem hasła: „do broni", aby być niemym świadkiem strzału Freda do wilka.

Stał... stał chwilę przy otwartej strzelnicy, wreszcie zamknął okiennicę i usiadł.

Niema nic — wyszeptał... zdawało ci się...

Za chwilę znowu usłyszałem jakby ciche i ostrożne stąpania po śniegu, tuż nad moją głową.

To moja kolej. Przeczekam jeszcze chwilę...

Pociągnąłem, jak mogłem najciszej, herbaty z manierki i... znowu usłyszałem ten sam chrzęst śniegu, ale już bliżej strzelnicy.

Za chwilę (może to były sekundy) — ostrzejszy świst powietrza w mojej okiennicy, jakby ktoś sil nie wciągał nosem powietrze i węszył.

Zamarłem w oczekiwaniu, gdy tuż potem targnął ciszą nocy zgrzyt zębów po kościach i chrzęst łamanych końskich gnatów. Nie miałem wątpliwości. Złapałem za rękę Freda, a czując nerwowe drgnięcie jego ręki, ścisnąłem go silniej i szepnąłem: „wilki"... on — „nie jeden — kilka".

Jakby na potwierdzenie jego słów, usłyszeliśmy warczenie i żarcie się wilków przy padle.

Nie otwierając już okiennicy, komenderowałem szeptem:

Fred... flinta... odbezpiecz... powiem: paaal...

Z bronią w ręku równocześnie otworzyliśmy okiennice i... aż przysiedliśmy z wrażenia.

Horyzont zasłaniały cztery wilki. Dwa olbrzymy stare po bokach, a między niemi dwa znacznie mniejsze szczeniaki... cała rodzinka.

Wysunąłem bez szmeru flintę i z muszką już na komorze, szepnąłem „pa..." lecz nie dokończyłem gdyż usłyszałem stuk Freda (zaczepił nogą o drabinę i sprzączką od pasa o brzeg strzelnicy) i jego szept:— czekaj...

Wilki zaniepokojone, przestały żreć i wlepiły (stare tylko) ślepia w strzelnice, skąd doszedł ich widocznie szept ludzki.

Mój wilk rozpoczął niezdecydowane rzuty przodem, to w prawo to w lewo.

Strzelę, nie czekając — pomyślałem — wodząc lufą za nim, gdy Fred szepnął: „już".

Ja tuż za nim: „paaal".

Huknęły dwa prawie równoczesne strzały, Freda i mój. Po nich trzeci Freda. Mój wilk zrulował w ogniu i padł łapami do mnie.

Freda upadł na zad, ale tuż po strzale wykonał szalony skok i znikł za fałdą terenu. Fred strzelił drugi raz. Małe — znikły, jak mary.

Mój wilk próbował jeszcze podnieść się na przednie łapy, ale przygwoździł go drugi mój strzał 6/0 na łopatkę (jak się później przekonałem zbyteczny).

Leżał obok konia w bezruchu, jak czarna duża plama, rozbójnik i herszt wilczej bandy, gdy jeszcze grzmiało po lesie echo naszych strzałów, a szanowna rodzinka rwała w głuszę kniei na nową walkę o byt.

Fred darować sobie nie mógł pecha z tą drabiną i sprzączką od flinty.

Z żalu nie chciał patrzeć w strzelnicę, choć pocieszałem go pewny, że i jego wilczyca dostała i pewnie gdzieś niedaleko leży.

Niemniej jednak serdecznie mnie wyściskał i gratulował strzału i takiego łupu.

Czuwaliśmy jeszcze z godzinę, ale po tylu strzałach, widząc beznadziejność oczekiwania na drugą taką okazję, z rozkoszą zapaliliśmy zatajone papierosy i zdecydowaliśmy wciągnąć wilka do schronu, wrócić pieszo do wsi (koło 4 km.), aby o świcie pójść za śladami ranionej wilczycy. Dobrnęliśmy do wsi po pierwszej w nocy i w ciepłej już izbie zdaliśmy relację z wyprawy.

Przy dobrze zakrapianej kolacji, p. Leopold burczał i strofował Freda za jego nerwy, twierdząc, że spartoliliśmy polowanie, że tam mogły być dublety i t. d.

Pościg za postrzeloną, a dobrze początkowo farbującą wilczycą, nie dał rezultatów.

Po przejściu po śladach około 6-ciu km., gdy farby było już coraz mniej, do śladu matki dołączyły się i ślady szczeniaków.

Utykając na prawą tylnią łapę, wilczyca pociągnęła w ostępy państwowych lasów, uniemożliwiając dalszy pościg.

Wilk pies, zabity przezemnie. ważył 50 kg. (transportowałem go koleją do Grodna) i mierzył 1 m. 85 cm. od nosa do końca ogona.

Obwód piersi 86 cm., czaszki 59 cm. a karku 57 cm. I w niebylejakich był już tarapatach, bo na prawej przedniej łapie miał zgrubienie kostne, wskazujące na to, że kiedyś albo wpadł w żelaza, lub też dostał już postrzał.

Po zdjęciu skóry widać było wyraźne blizny od cięć zębów wilczych na szyi i żebrach.

Loftki przeszły go na wylot, lub też, spłaszczone na kościach, zatrzymały się tuż pod skórą.

Dolne, starte po bokach zęby i kły bez końców mówiły, że przeżył około 10-ciu lat.

TADEUSZ ZDZISŁAW JAKUBOWSKI.

PRZESIEDLANIE GŁUSZCÓW.

W numerze 4-tym r. b. czasopisma „Deutsche Jäger Zeitung" umieszczony został bardzo ciekawy artykuł, dotyczący prób, jakie dokonane zostały z przesiedlaniem głuszców w Niemczech, w lasach Prowincji Nadreńskiej.

Ze względu na to, że Polska w swych centralnych i zachodnich częściach kraju posiada wiele bardzo terenów, na których głuszce mogłyby się trzymać, a gdzie ich obecnie niema jedynie dlatego, że zostały tam wytępione, jak np. w lasach Ordynacji Zamoyskiej, bądź też dlatego, że odpowiednie tereny dzieli zbyt duża odległość od miejscowości, gdzie głuszce u nas są bardzo liczne, sądzę, że w tych warunkach szczegóły, dotyczące sposobu przesiedlania i osiedlenia na stałe tego pięknego ptaka zainteresować powinny szerszy ogół myśliwych — podaję je więc poniżej w streszczeniu.

Od szeregu lat czynione były w Niemczech próby z osiedlaniem głuszców w lasach Prowincji Nadreńskiej, gdzie głuszce zgórą od 100 lat całkowicie wyginęły. Próby przesiedlania polegały na sprowadzaniu głuszców, które bezpośrednio po nadejściu wypuszczano na wolność. Rezultaty każdorazowo były ujemne, gdyż głuszce, z natury swej ptaki bardzo dzikie, rozlatywały się na wszystkie strony bez możności późniejszego wzajemnego odnalezienia się i ginęły stopniowo od drapieżników.

Zdawało się, że próby osiedlenia spełzną na niczem, tem więcej, że wielu sceptyków podawało w wątpliwość, czy wogóle głuszec w obecnych warunkach może znaleść na tamtejszych terenach łowieckich odpowiednie warunki do swej egzystencji. Jakkolwiek tereny leśne, przeznaczone do prób, obejmowały znaczne obszary, to jednak były to lasy nie mające w sobie nic z typowej „głuszy leśnej", tak niezbędnej, zdawałoby się, dla głuszca — przeciwnie, liczne drogi i szosy, przecinające lasy, z ożywionym ruchem kołowym i samochodowym, z rozbrzmiewającemi co chwila trąbkami i syrenami samochodowemi, liczni spacerowicze, tłumnie zalegający lasy w czasie tak ulubionych przez Niemców świątecznych wycieczek — słowem wszystko zdawało się przemawiać za tem, że wysiłki pozostaną daremne.

Komuś z biorących udział w tych próbach przyszła do głowy myśl, że pierwszym warunkiem powodzenia musi być „ucywilizowanie dzikusów", jeżeli mają się czuć dobrze w nowych, tak odmiennych od rodzinnych stron, skąd pochodzą, warunkach. Osiągnąć to można było tylko przez przetrzymanie głuszców przez pewien czas w niewoli. Przystąpiono zatem do wybrania odpowiedniego miejsca w lesie o przestrzeni około 4-ch ha., które ogrodzono parkanem na wysokość 2,5 metra. Miejsce wybrano możliwie odpowiadające wszystkim warunkom, a więc zaciszne, zdala od wszelkiego ruchu, porośnięte lasem i krzakami, obfitujące we wszelkiego rodzaju jagody, zapewniając głuszcom w ten sposób naturalne pożywienie. Do tak przygotowanego ogrodzenia wpuszczono we wrześniu 1929 roku początkowo dwa koguty i 4 kury, obcinając im u jednego skrzydła lotki, by nie mogły z ogrodzenia wyfrunąć. Obok naturalnego pożywienia karmiono głuszce owsem, żołędziami oraz jagodami, a ponadto usypano kilka kopczyków drobnego żwiru, gdyż drobne kamyki, połykane przez głuszce, stanowią dla nich nieodzowny warunek trawienia.

Oczywiście uczyniono ponadto wszystko w zakresie ochrony głuszców od drapieżników, a więc poustawiano dookoła ogrodzenia pułapki, oraz wewnątrz ogrodzenia kosze i żelaza na słupkach na jastrzębie. Pomimo tych środków ochrony, nie uniknięto pewnych strat w okresie zimowym 1929/30, co spowodowało, że z wiosną, w marcu 1930 r. okazała się konieczność sprowadzenia dodatkowo 2-ch kur, które wpuszczono do ogrodzenia, uzupełniając w ten sposób powstały brak. Głuszce w ogrodzeniu pomimo niewoli zachowywały swoją dzikość, podpatrywanie ich przeto nastręczało bardzo wiele trudności.

Z niecierpliwością oczekiwano zbliżającego się okresu toków. Nadszedł wreszcie upragniony kwiecień i oto koguty zaczęły w najlepsze tokować i deptać kury, w lecie zaś można już było stwierdzić dwa stadka młodych głuszców. Młode rosły z nadzwyczajną szybkością i wreszcie łącznie ze staremi głuszcami, którym też w tym czasie lotki u skrzydeł poodrastały, wyfrunęły poza ogrodzenie na las — na wolność.

Niezaprzeczalnie osiągnięte powodzenie nie mogło być jednak uważane za sukces ostateczny, gdyż niewiadomo było, czy w ten sposób osiedlone głuszce pozostaną w terenie, czy nie wyniosą się gdzieś w dalekie strony. Ponadto ilość głuszców w stosunku do obszaru była zbyt mała, by można było spodziewać się w krótkim czasie znaczniejszego przyrostu, a na dobitek liczne w okolicy stada dzików groziły ewentualnem niszczeniem gniazd.

W tych warunkach postanowiono wznowić próby wychowu głuszców w ogrodzeniu i sprowadzono w jesieni 1930 roku 3 koguty i 11 kur, a w roku 1931 2 koguty i 9 kur, osiągając rezultaty podobne do pierwszych. Ponieważ w roku 1932 stwierdzono, że głuszce osiedliły się już na stałe na omawianych terenach i lęgi na wolności odbywają się normalnie, sprowadzono na jesieni ponownie trzy koguty i 6 kur, które tym razem zaryzykowano już wypuścić na wolność bezpośrednio po sprowadzeniu.

Doświadczenia powyższe, przeprowadzone z głuszcami, utwierdzają mnie w przekonaniu, że analogiczny system dałby się zastosować przy osiedlaniu cietrzewi — a prawdopodobnie i jarząbków, o ile oczywiście tereny z natury swej będą odpowiadały ich upodobaniom, lub do tych upodobań zostaną dostosowane. Ileżby to uroku zyskały nasze lasy, gdyby wszędzie, gdzie tylko lokalne warunki na to pozwalają — rozbrzmiewała pieśń naszych leśnych trubadurów.

Oto jedno z wielu — bardzo wielu zadań Polskiego Związku Stowarzyszeń Łowieckich, a także Naczelnej Dyrekcji Lasów Państwowych. Co do mnie, jestem z całą gotowością przyjścia z pomocą tym, którzy w tym kierunku podejmą inicjatywę.

S. KAMOCKI.

Wobec wybitnego rozmnożenia się głuszców na wschodnich kresach naszego kraju, aż tak dalece, że przepełnienie niektórych rewirów wywołuje przymusową emigrację ptaków w poszukiwaniu nowych miejsc stałego pobytu, posiadamy niewątpliwie obfite źródła macierzyste, by pokusić się o zdobycie materjału w celu przesiedlania głuszców nawet na większą skalę.

Myśliwi tamtejsi dobrze rozumieją, że w wielu wypadkach nie są w możności w dostatecznym stopniu wykorzystać odstrzału, potrzebnego dla normalnego rozwoju i bytu znajdujących się w ich rewirach głuszców, że zatem posiadają częstokroć ich nadprodukcję.

Brak jedynie dotychczas inicjatywy do działania, ażeby na tych podstawach zaryzykować próby chwytania głuszców i zatroszczyć się o nowe dla nadliczbowego kontyngentu ostoje, oraz o chętnych na tę piękną zwierzynę odbiorców.

Mamy nadzieję, że zamieszczony tu opis niemieckiej wytrwałości, uwieńczonej pożądanym skutkiem, pobudzi w zasadzie popyt na stwarzanie nowych głuszcowych osiedli. Niechże przeto zorganizują się źródła podaży i dadzą znać o sobie.

W. Z.

STRZAŁ KULĄ W PŁOT.

Ustępując Wielce Szanownemu Redaktorowi „Łowca Polskiego", Panu Walentemu Garczyńskiemu, zaniechałem odpowiedzi na „jeszcze coś" p. Dylewskiego („Ł. P." Nr. 36). Istotnie popisywać się wykonaniem tak łatwego zadania, jakiem byłoby obalenie uwag Autora artykułu „Teorja dla teorji i jeszcze coś", nie zawierałoby absolutnie nic „sportowego", a przedewszystkiem czytelnicy „Łowca Polskiego" prawdopodobnie mają dosyć wycieczek osobistych i pragnęliby czegoś więcej o... hodowli.

Starałem się w paru rzutach, nie wyczerpujących oczywiście tematu, wyrazić mój pogląd na kupno reproduktora („Ł. P. " Nr. 31).

Gdy jednak p. Dylewski „rozgromił" (tak zapewne sądzi) moje zapatrywanie, oczekujemy, że, po złapaniu oddechu, zechce zdradzić czytelnikom „Łowca Polskiego", gdzie i u kogo nabywał według swego systemu reproduktory i jakie miał wyniki, najprzód hodowlane, a następnie polowe. Inaczej bowiem rzeczywiście wywody p. Dylewskiego byłyby jedynie „teorją dla teorji".

Żałuję, że nie jestem w stanie odpowiedzieć bardziej szczegółowo Autorowi na zarzut, że hodowcy rozpoczęli hodowlę od niewłaściwych reproduktorów, gdyż Autor unika nazwisk hodowców i imion psów. Zresztą, gdybym nawet wiedział o kim mowa, również mógłbym być zdania innego. Dziwnym bowiem zbiegiem okoliczności w hodowli mojej (nie istniejącej już od 3-ch lat) nie było wypadków ani gruźlicy, ani krowich zadów, ani wybitnie słabego wiatru, ani obawy przed strzałem (dziedziczność tej cechy jest mocno wątpliwa), a moje psy posiadają krew prawie wszystkich importów szwedzkich i niemieckich do „Blackfield Drop" włącznie.

Replika zatem p. Dylewskiego, poświęcona wyłącznie prawie kwestji „osobistej", nie przynosi sprawie hodowli psów absolutnie nic nowego.

Do nieziszczalnych bowiem fantazyj należy „próba psa przeprowadzona np. konno, na dużych przestrzeniach i trwająca, powiedzmy, cały dzień". Autor życzy zrealizowania takiej myśli „dla pożytku i wykazania n a s z e j (!!?) tężyzny".

Muszę jednak dodać, że ów nowy sposób przeprowadzania prób polowych, a w i ę c i t r e s u r y, bo zanim nastąpi próba m u s i b y ć o d p o w i e d n i t r e n i n g, jest bardzo niewyraźnie przez Autora naszkicowany. Nawet układanie wyżła-kuropatwiarza i to na równinach mazowieckich nastręczałoby trudności. A co robić konno w terenie falistym i kamienistym? A jak układać wyżła w lesie na młodych cietrzewiach, lub na rozległych błotach, na bekasach i dubeltach? Są przecież w naszym kraju okolice, gdzie kuropatw niema, a wyżeł ma co robić na innej zwierzynie. A jak zapewnić sobie jeżdżący konno komplet sędziowski?

Trudno uwierzyć, że nowa teorja wyszłaby z pierwszego spotkania z życiem zwycięsko.

Na zakończenie porównanie.

Na podstawie twierdzeń p. Dylewskiego musielibyśmy dojść do przekonania, że hodowla psów myśliwskich w Polsce przedstawia się następująco:

Przykłady, oparte na faktach znanych:

Po reproduktorze szwedzkim: „90% panicznie obawia się strzału". Po arcypsie z Niemiec: „80% posiada krowi zad i nie może odpowiednio poruszać się".

Wypadki bardziej jaskrawe:

„Kilka reproduktorów sprowadzonych ze Szwecji. Rezultat: potomstwo dziedziczyło wspólną, a niezbyt wartościową cechę — brak wiatru".

„Inne reproduktory: (jakie i skąd? *pytanie moje)* ślicznie przekazywały dobrze zagospodarowaną gruźlicę (o ile ja wiem, gruźlica u psów nie jest dziedziczna, tylko zaraźliwa), która zniszczyła dużo odhodowanego przychówku".

Ponieważ dwa ostatnie wypadki nazywa p. Dylewski „bardziej jaskrawemi", więc przypuszczalnie oznacza to, że szczenięta po tych reproduktorach okazałyby się bądź pozbawionemi wiatru, bądź zaatakowanemi przez gruźlicę w ilości p o n a d 80 i n a w e t 90%. Sytuacja wprost beznadziejna.

Ale czego nie zauważył p. Dylewski, członek ścisłego Komitetu Redakcyjnego „Łowca Polskiego", to na szczęście zauważyłem ja i pozwalam sobie przypomnieć hodowcom i czytelnikom. Bo oto w tym samym Nr. 31 „Ł. P.", w którym wydrukowany został mój artykuł, Redakcja zamieściła sprawozdanie z ostatnich prób polowych w Wilanowie pióra p. W. Marra z Kijowa, zamieszkałego w Berlinie. Nawiasem mówiąc, p. W. Marr posiada markę a u t o r y t e t u p a r e x c e l l e n c e, w sprawach hodowli.

Otóż p. Marr pisze w swem sprawozdaniu (Nr 31 „Ł. P."): „Próby polowe, które oglądałem w r. 1931, pozostawiły po sobie dość przygnębiające wrażenie".

„Obecnie (t. j. po 2 latach, *uwaga moja)* zaproszeni sędziowie mieli prawdziwą satysfakcję, bowiem zgłoszone na próby polowe psy były istotnie wysokiej wartości".

„Z wyjątkiem jednej suki, reszta psów wykazała zupełnie zadowalniający wiatr, dobre chody i sposób szukania". Czyli że, jeśli były w hodowli te lub inne błędy lub niepowodzenia, to zostały już naprawione, zanim p. Dylewski wystąpił ze swą krytyką.

„Wszystkie pointery, zgłoszone do konkursu, zarówno pod względem typu, jak i eksterjeru należy zaliczyć do wysokiej klasy".

Dosłownie wszystkie. Ponieważ p. Marrowi szczególnie przypadły do gustu trzy psy, więc dodaje jeszcze:

„Osobiście zalecam polskim hodowcom pointerów j a k n a j u s i l n i e j s z e w y z y s k a n i e t y c h t r z e c h s z t u k d l a k o n t y n u o w a n i a o m a w i a n e j r a s y". I tak kończy:

„Należy mieć nadzieję, że sprawa ta nietylko utrzyma się nadal na już osiągniętym, wysokim poziomie, lecz będzie kwitnąć i rozwijać się coraz lepiej".

Wszystkie, lub przynajmniej znaczną większość wad, wykazanych przez psy podczas konkursów, przypisuje p. Marr wyłącznie treserom.

Od siebie dodam: trzy rasowe reproduktory, które według opinji p. Marra obecnie posiadamy, to rezultat hodowlany wspaniały!

Przez parę lat możemy obejść się bez importów.

Hodowcy nasi mogą być dumni z osiągniętych wyników. Szczęść im Boże w dalszej, tak trudnej pracy.

KAZIMIERZ ŚWIDERSKI.



Z POLSKIEGO ZWIĄZKU STOWARZYSZEŃ ŁOWIECKICH.

PROTOKÓŁ
POSIEDZENIA WYDZIAŁU WYKONAWCZEGO Z DNIA 19 STYCZNIA 1934 ROKU.

Porządek obrad był następujący

Zatwierdzenie protokółu posiedzenia Wydziału Wykonawczego z dnia 15 grudnia 1933 r.

Sprawy Delegatów Powiatowych.

Sprawy Stowarzyszeń Związkowych.

Sprawy bieżące.

Zjazd Conseil International de la Chasse

Wnioski.

Obradom w pierwszej części przewodniczył p. W. Szperling, obecni byli pp.: gen. K. Fabrycy, M. hr. Potocki, W. Garczynski, B. Gędziorowski, H. Knothe, C. Lisowski, J. Skrzypek i A. Tallen-Wilczewski. W czasie omawiania spraw bieżących przybył p. Prezes gen. K. Sosnkowski, który objął przewodnictwo dalszych obrad. W tym też czasie przybył zaproszony na posiedzenie p. prof. J. Gieysztor.

Nieobecność swą usprawiedliwili pp. inż. J. Grabowski, J. Żukotyński, oraz zaproszony na posiedzenie dr. St. Zaborowski.

Sekretarzował J. Bokiewicz.

Protokół posiedzenia Wydziału Wykonawczego z dnia 15 grudnia roku ubiegłego bez zmian zatwierdzono.

Zgodnie z poleceniem Wydziału Wykonawczego, sekretarjat Związku rozesłał legitymacje na dalsze trzechlecie tym tylko delegatom powiatowym Związku, którzy w roku ubiegłym nadesłali sprawozdania ze swej działalności, oraz tym, którzy prenumerują „Łowca Polskiego". Wszystkim pozostałym delegatom wysłano okólnik, przypominający, iż w myśl uchwały ostatniego Walnego Zgromadzenia Związku, delegaci powiatowi obowiązani są prenumerować organ związkowy. W okólniku zaznaczono, że Wydział Wykonawczy, na prośbę zainteresowanych, udzielać będzie indywidualnie zniżki w opłacie prenumeraty.

Zgodnie z wnioskiem Śląskiego Towarzystwa Łowieckiego, Wydział Wykonawczy ustalił następujący skład delegatów w województwie śląskiem na dalsze trzechlecie:

Delegatem wojewódzkim pozostaje nadal p. inż. Dalbor.

Delegatami powiatowymi mianowani są pp.:

w powiecie Bielsko —
dr. Ernest Habicht, Grodziec Śl.

w powiecie Cieszyn —
inż. Józef Buczacki, Cieszyn, Zamek,

w powiecie Katowice —
inż. Jan Bukowski, Katowice, Poprzeczna Nr. 6,
inż. Jerzy Fogt, Bielszowice, Główna Nr. 111-a.

w powiecie Lubliniec —
dr. Franciszek Willert, Lubliniec,
insp. Ryszard Berndt, Koszęcin,

w powiecie Pszczyna —
Stanisław Cenkier, Mikołów,
inż. dr. Paweł Kożdoń, Tychy, Żwaków,
Romuald Mędlewski, Katowice, Sokolska Nr. 2.

w powiecie Rybnik —
Antoni Grzesik, Rybnik,
inż. Władysław Malinowski, Rybnik,
dr. Alojzy Pawelec, Wodzisław,
inż. Antoni Rowiński, Knurów,

w powiecie Świętochłowice —
Artur Kleski, Królewska Huta, Katowicka Nr. 24,
Zygmunt Szukalski, Królewska Huta, Zakład Ubezpieczeń,

w powiecie Tarnowskie Góry —
dr. Józef Potyka, Tarnowskie Góry.

Zgodnie z wnioskiem Towarzystwa Łowieckiego Ziem Wschodnich, Wydział Wykonawczy postanowił odnowić legitymacje na dalsze trzechlecie następującym delegatom powiatowym w województwie wileńskiem:

w powiecie Dzisna pp. —
Janowi hr. Platerowi, Łużki,
Bolesławowi Samujlle, Podświlje, Białokorje,

w powiecie Święciany —
Janowi Niedroszlańskiemu, Świr, Niedroszla,

w powiecie Wilno-Troki —
Wincentemu Łuczyńskiemu.

Nadto, na wniosek Towarzystwa Łowieckiego Ziem Wschodnich, Wydział Wykonawczy mianował delegatem Związku na powiat Wilno-Troki p. kpt. Jerzego Henneberga, Nowa Wilejka, 19 p. a. l.

Wydział Wykonawczy zatwierdził kandydatury na delegatów powiatowych Związku

w województwie lubelskiem —
pp. Zygmunta Jeżwińskiego (Radzyń podl., Borki) i Stanisława Ośniałowskiego (Radzyń podl., Żabików) — na powiat Radzyń podl.,

w województwie łódzkiem —
p. Pawła Deutschmanna (Kalisz, Biernatki) — na powiat Kalisz,

w województwie nowogródzkiem —
p. rtm. Henryka Buszyńskiego (Werenów, Kondraciszki)— na powiat Lida,
p. dr. Karola Przysieckiego (Nieśwież) — na powiat Nieśwież,

w województwie warszawskiem —
pp. Tadeusza Pszczółkowskiego (Błędów, Machnatka) i Adolfa Szonerta (Warka, Laski) — na powiat Grójec.

Wydział Wykonawczy przyjął do wiadomości rezygnację p. Eugenjusza Pacyny z mandatu delegata Związku w powiecie Grójec (woj. warszawskie).

Na wniosek p. Garczyńskiego postanowiono zwrócić się do Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego o informacje co do aktualności wykazu delegatów Związku w województwach lwowskiem, krakowskiem, stanisławowskiem i tarnopolskiem.

Towarzystwo Łowieckie Ziem Wschodnich ponownie przedstawiło wniosek o wprowadzenie obowiązku należenia Delegatów Związku w województwach wileńskiem, białostockiem i nowogródzkiem do tegoż Oddziału Związku, jako warunku nominacji na delegata. Towarzystwo Łowieckie Ziem Wschodnich prosi o rewizję poprzedniej uchwały Wydziału Wykonawczego, odrzucającej ten wniosek.

Wydział Wykonawczy zreasumował uchwałę swą z dnia 15 grudnia r. 1933 i postanowił przychylić się do wniosku Towarzystwa Łowieckiego Ziem Wschodnich, wprowadzając, jako warunek nominacji Delegatów Związku w województwach białostockiem, nowogródzkiem i wileńskiem należenie kandydatów do Towarzystwa Łowieckiego Ziem Wschodnich. Oddziałowi temu postanowiono wyjaśnić, że Wydział Wykonawczy nie miał zamiaru zawieszać postanowienia § 29 pkt. d. statutu Związku, a poprzednia uchwała, odrzucająca powyższy wniosek, powzięta była wobec zbyt luźnego dotychczasowego stosunku Towarzystwa Łowieckiego Ziem Wschodnich do Delegatów Związku na obszarze województw północno-wschodnich.

Przyjęto do wiadomości treść okólnika Śląskiego Towarzystwa Łowieckiego z grudnia r. 1933 do członków tego Oddziału. W okólniku tym zamieszczono ponowny apel w sprawie prenumeraty „Łowca Polskiego" i zaznaczono, że koszt prenumeraty został obniżony przy powiększonej objętości poszczególnych numerów.

Wniosek Wielkopolskiego Związku Myśliwych o uzupełnienie regulaminu delegatów powiatowych — przekazano Komisji Statutowej.

Na prośbę Sekcji Łowieckiej Koła Leśników S. G. G. W. Wydział Wykonawczy postanowił przeznaczyć na organizowane przez Sekcję tę zawody strzeleckie nagrody w postaci przedmiotu i żetonów, których przeznaczenie ustali p. przewodniczący Szperling po otrzymaniu programu tych zawodów.

Nagrodę imienia Związku w postaci przedmiotu ofiarował p. gen. Fabrycy.

Kółko Myśliwskie „Łów" w Warszawie, po uregulowaniu składki członkowskiej za rok 1933, przedstawiło prośbę o wykreślenie go ze Związku wobec zmian wewnętrznej organizacji Kółka. Wydział Wykonawczy prośbę tę przyjął do wiadomości, skreślając Kółko Myśliwskie „Łów" z listy Stowarzyszeń Związkowych.

Powiatowe Towarzystwo Łowieckie w Tomaszowie Lubelskim, wykreślone ze Związku uchwałą Zarządu z dnia 2 grudnia r. 1933, oświadczyło obecnie, że nie otrzymało wcale zawiadomienia o przyjęciu do Związku, a więc nie poczuwa się do obowiązku pokrycia zaległości. Sekretarjat Związku wyjaśnił, że zawiadomienie takie wysłane było we właściwym czasie. Odpis tego zawiadomienia postanowiono przesłać wraz z wyjaśnieniem wymienionemu Towarzystwu.

Polskie Towarzystwo Łowieckie w Złoczowie, wykreślone ze Związku uchwałą Zarządu z dnia 2 grudnia r. 1933, oświadczyło, że zaległą składkę członkowską ureguluje do dnia 1 czerwca r. b.

Zakwalifikowanie Kieleckiego Towarzystwa Prawidłowego Myślistwa w Kielcach do przyjęcia w poczet Stowarzyszeń Związkowych odłożono do czasu przedstawienia przez Towarzystwo to danych co do dzierżawionych obwodów łowieckich.

Nowozorganizowane Wołyńskie Stowarzyszenie Łowieckie w Łucku zgłosiło swój akces do Związku, przedstawiając jednocześnie wniosek o nadanie mu praw Oddziału Związku na obszar województwa wołyńskiego.

Wniosek ten poparł p. gen. Fabrycy, oznajmiając, że organizatorzy Wołyńskiego Stowarzyszenia Łowieckiego są mu osobiście znani i dają rękojmię należytego prowadzenia działalności.

Po uzupełnieniu akt przez wymienione Stowarzyszenie, Wydział Wykonawczy postanowił wniosek o utworzenie nowego Oddziału Wojewódzkiego — przedstawić Zarządowi Związku.

P. gen. Fabrycy podkreślił, że ze wszech miar pożądane jest zorganizowanie możliwie najrychlej Oddziału Związku w Warszawie.

Zgodnie z opinją Związku, p. Minister Rolnictwa i Reform Rolnych wydał rozporządzenie z dnia 8 stycznia r. b. (Dz. U. Nr. 4 z dnia 16 stycznia r. b. poz. 28) o uchyleniu mocy obowiązującej rozporządzenia z dnia 9 listopada r. 1932, zezwalającego na polowanie na sarny—kozy oraz łanie jeleni i danieli w czasie od 16 stycznia do 15 lutego. Rozporządzenie to uchyliło również zezwolenie na polowanie na kury bażancie w ciągu listopada.

Wydział Wykonawczy nadał srebrny Medal Zasługi Łowieckiej Ludwikowi Tadeuszowi Malczewskiemu, referentowi bezpieczeństwa w starostwie powiatowem w Płońsku — za skuteczne zwalczanie przestępstw łowieckich na terenie powiatu Płońsk (wniosek p. J. Korybut-Daszkiewicza, delegata Związku w pow. Płońsk).

Wydział Wykonawczy nadał bronzowy Medal Zasługi Łowieckiej:

Stefanowi Najdzie, przodownikowi policji państwowej, komendantowi posterunku w Małym Płocku (pow. Łomża) — za wytrwałą i skuteczną walkę z kłusownictwem (wniosek p. K. Komierowskiego, delegata Związku w pow. Łomża);

Janowi Drzewieckiemu, posterunkowemu policji państwowej w Naruszewie (pow. Płońsk) — za gorliwą i skuteczną walkę z kłusownictwem (wniosek p. J. Korybut-Daszkiewicza, delegata Związku w pow. Płońsk);

Janowi Bańce, strażnikowi łowieckiemu Towarzystwa Prawidłowego Myślistwa „Diana" w Zawierciu — za gorliwą i sumienną służbę (wniosek Towarzystwa Prawidłowego Myślistwa „Diana" w Zawierciu);

Wydział Wykonowczy przyjął do wiadomości sprawozdanie p. inż. K. Komierowskiego, delegata Związku w pow. Łomża, dotyczące działalności Powiatowej Rady Łowieckiej w Łomży. Powiatowa Rada przeznaczyła ostatnio na fundusz nagród dla funkcjonarjuszy policji państwowej, którzy wyróżnili się w walce z przestępstwami łowieckiemi sumę zł. 500.— oraz cztery obligacje 50 złotowe pożyczki narodowej. Nagrody te wręczone zostały wyróżnionym funkcjonarjuszom policji w dzień Nowego Roku i spotkały się z prawdziwem zadowoleniem.

Urząd wojewódzki wileński zaproponował Wydziałowi Wykonawczemu rozpatrzenie możliwości wydawania przez Związek druczków z tabelą obowiązujących czasów ochronnych — bezpłatnie. Wydział Wykonawczy na propozycję tę zgodzić się nie mógł.

P. inż. Jan Krahelski b. wojewoda poleski, złożył tytułem ofiary na cele Związku kwotę zł. 50.— P. wojewodzie Krahelskiemu przesłano specjalne podziękowanie.

Fr. ks. Drucki-Lubecki przekazał na rzecz Związku kwotę zł. 6.— jako ofiarę.

Na posiedzenie przybył p. Prezes gen. Sosnkowski, który objął przewodnictwo dalszych obrad.

P. red. Garczyński przedstawił Wydziałowi Wykonawczemu artykuł p. dr. W. Burzyńskiego w sprawie ewentualnego udziału Związku w utworzeniu rezerwatu w Hryniawie. P. red. Garczyński prosił Wydział Wykonawczy o zajęcie stanowiska w tej sprawie i o dyrektywę, czy artykuł ten należy zamieścić w „Łowcu Polskim".

W dyskusji nad tą sprawą zabierali głos pp. Prezes gen. Sosnkowski, inż. Knothe i red. Garczyński, poczem, na wniosek p. Prezesa gen. Sosnkowskiego, Wydział Wykonowczy jednomyślnie powziął następującą rezolucję:

Wydział Wykonawczy postanawia ustosunkować się pozytywnie do projektu utworzenia rezerwatu w Hryniawie, pod warunkiem dopuszczenia przedstawicielstwa Związku do prac nad utworzeniem i prowadzeniem rezerwatu, oraz wysuwając jako warunek zasadniczy — żeby w rezerwacie wyłączone były z pod ochrony wilki.

Zamieszczenie artykułu p. dr. Burzyńskiego w „Łowcu Polskim" uznano za wskazane, przyczem artykuł ten winien być opatrzony komentarzem redakcji, zgodnym z powziętą w tej sprawie rezolucją Wydziału Wykonawczego.

P. gen. Fabrycy zakomunikował, że dyrektor naczelny lasów państwowych, p. Loret, pragnąc uregulować szlaki turystyczne na terenie lasów państwowych, uzgodnić zamierza tę sprawę ze Związkiem pod względem łowieckim, ustalając pewne okresy dla turystyki i wyłączając w pewnych okolicach dostęp dla turystów.

P. Prezes gen. Sosnkowski oznajmił, że rozmawiał również na ten temat z p. dyr. Loretem. Aby jednak ustalić dezyderaty łowiectwa, należy najpierw zaznajomić się z obecnym stanem rzeczy na podstawie zestawień z poszczególnych dyrekcyj lasów państwowych.

Na wniosek p. Prezesa gen. Sosnkowskiego, Wydział Wykonawczy delegował do porozumienia się w tej sprawie z p. dyr. Loretem pp. gen. Fabrycego i inż. Knothego, postanawiając prosić p. dyr. Loreta o przedstawienie obecnego stanu rzeczy w poszczególnych nadleśnictwach.

Po dyskusji, w której wypowiedzieli się pp. gen. Fabrycy, Szperling, Garczyński i Gędziorowski, na wniosek p. Prezesa gen. Sosnkowskiego, powzięto uchwałę następującą:

Wydział Wykonawczy upoważnia administrację „Łowca Polskiego" do przekroczenia preliminowanego budżetu pisma o zł. 2.620.— celem:

a) wprowadzenia białej okładki z ilustracyjnego papieru,

b) polepszenia papieru dla całości numeru,

c) wprowadzenia do każdego numeru trzech dodatkowych klisz,

d) wprowadzenia barwnego druku okładki.

Wydział Wykonawczy wyraża przekonanie, że ryzyko handlowe, zawarte w powyższej inwestycji, pokryte zostanie przez przyrost prenumeratorów.

Przystąpiono do rozpatrzenia spraw, związanych z organizacją zjazdu Conseil International de la Chasse.

Po wypowiedzeniu się w tej sprawie pp. Prezesa gen. Sosnkowskiego, hr. Potockiego, gen. Fabrycego, Szperlinga, prof. Gieysztora, inż. Knothego i red. Garczyńskiego, Wydział Wykonawczy uchwalił:

1) Prosić Pana Prezydenta Rzeczypospolitej o przyjęcie protektoratu nad Zjazdem; formę prośby ustalić w porozumieniu z Prezesem Międzynarodowej Rady Łowieckiej.

W skład delegacji do Pana Prezydenta wybrano pp. hr. Bielskiego i M. hr. Potockiego.

2) Utworzyć Honorowy Komitet Zjazdu i prosić o protektorat nad Komitetem P. Premjera.

Na najbliższem posiedzeniu Wydziału Wykonawczego przedstawione być winy projekty składu:

1) Komitetu Honorowego,
2) Komitetu Organizacyjnego,
3) osób, które mają być zaproszone na Zjazd,
4) osób, które mają być zaproszone na bankiet.

Opracowanie tych list powierzono pp. hr. Potockiemu i Gędziorowskiemu.

Ustalono, że o przyjęcie godności członka Komitetu Honorowego prosić będzie delegacja w osobach pp. hr. Potockiego i przewodniczącego Szperlinga. W razie potrzeby ciż sami delegaci zapraszać będą wybitniejsze osobistości, proponowane na liście Komitetu Organizacyjnego.

Postanowiono poczynić starania w kierunku pozyskania prasy zagranicznej dla propagandy łowiectwa polskiego z okazji Zjazdu C. I. C.

Dział propagandy powierzono p. Gędziorowskiemu.

Uchwalono, że na najbliższe posiedzenie Wydziału Wykonawczego ma być przedłożony ogólny program organizacji Zjazdu z podziałem funkcyj przygotowawczych.

Detaliczny program, opracowany w najdrobniejszych szczegółach wykonawczych gotowy być musi na dzień 1 marca r. b.

P. hr. Potocki zwrócił się z prośbą, aby wszelka korespondencja, związana ze Zjazdem C. I. C., prowadzona była w porozumieniu z nim. P. hr. Potocki osobiście zwróci się w tej sprawie do wszystkich członków polskich C. I. C.

ZE SPRAWOZDAŃ DELEGATÓW POWIATOWYCH.

Z POWIATU RZESZÓW*).

Ciepłe i suche ziemie rzeszowskie, zarówno urodzajne lössy, jak i rędziny, a nawet połacie piaszczyste, pozostające jednak zawsze w dość wysokiej kulturze rolnej, sprzyjają oddawna rozmnażaniu się drobnej zwierzyny kulturalnej: kuropatw, bażantów i zajęcy.

Może nietyle zorganizowane łowiectwo, chroniące jako tako zwierzynę przed kłusownikami, wnykarzami i innymi szkodnikami ze świata zwierzęcego, ale niewiele dbające o inną jej ochronę i o utrzymanie w zimie, ile raczej pomyślne warunki fizjograficzne i poniekąd atmosferyczne, słowem naturalne, składają się na to, że stan wymienionych gatunków jest już u nas wcale dobry. Dotyczy to szczególnie kuropatw. Bezśnieżne zazwyczaj zimy, suche miesiące wiosenne i dobry stan zdrowia są, zdaje się, najlepszem zabezpieczeniem tych kuraków przed dotkliwszym ubytkiem.

Wystarczy nadmienić, że członkowie tutejszego „Towarzystwa Myśliwych" otrzymali w ubiegłym sezonie odstrzał aż po sześćdziesiąt kuropatw na osobę na wylosowanych dla siebie terenach.

Do tych sześćdziesięciu sztuk dodaćby jeszcze należało wiele nie podniesionych postrzałków, które, rzecz prosta, być muszą, gdy się strzela niekiedy albo i często do środka wzlatującego stada, „w kupę"... wówczas strącić można naraz dwa i więcej ptaków, co nie jest zgoła chlubą dla strzelca, gdy inne z ostrzeliwanego stada mniej lub bardziej ciężko bocznemi śrucinami rażone, lecą jeszcze światami i, już poza polem widzenia spadając, przepadają marnie i zwiększają dość znaczne ilościowe straty zwierzostanu.

Jeden z naszych młodych myśliwych, p. St. Politalski, ubił w ciągu kilku zaledwie godzin na wylosowanem łowisku w Zarzeczu 59 kuropatw i wyczerpał w ten sposób odrazu cały swój kontygent. Inni, którzy posiadają nadto własne tereny i dobre psy, odstrzelili w ubiegłym roku i podnieśli po dwieście, trzysta i więcej sztuk.

Ogólne wyniki kuropatwich polowań świadczą wymownie o obfitości tych ptaków. W Wysokiej np. u p. Bieniaszewskiego padło na kilku jesiennych polowaniach około 700 kuropatw, u p. Politalskiego w Przewrotnem ponad 500, u p. d-ra Midowicza na jego pięknych terenach w Świlczy, Trzcianie i Zgłobniu ponad 500, u p. Jędrzejowicza w Jasionce i Trzebowisku ponad 600. Zważywszy, że członkowie „Tow. Myśliwych" ubili razem około 800 kur., członkowie „Wojskowego Klubu Myśliwskiego" około 400, inni około 3.000, ocenić można ilość zabitych kuropatw na jakieś 5.000 sztuk.

Dostały więc porządnie w skórę, a mimo to zostało ich jeszcze bardzo dużo i jeśli w dalszym ciągu dobrze przezimują, co w tym roku jest wątpliwe, bo nasza zima nie wypowiedziała dotąd ostatniego słowa, może ich być w jesieni na wszystkich łowiskach całe zatrzęsienie.

Jest dobrze, że dzięki ustawie, ustało już z dniem 30.XI dalsze ich wybijanie.

Wśród zabitych kuropatw przeważały, jak zresztą zawsze, w 70% co najmniej, koguty.

Tu i owdzie stwierdzono, na szczęście sporadycznie, wśród nich opuchnięte biegi, dyfteryt ptasi z wysiękiem i skrzywienie szczęk.

Dnia 23 października polowaliśmy w 6 strzelb w Sokołowie (powiat Kolbuszowa) u p. mjra Ciepielowskiego. Polowanie to na kuropatwy opóźniło się nieco, bo ziemniaków już nie było i ptaki zrywały się z rzadszych łubinów za daleko. Mimo to padło ich jeszcze 56, nadto siedm zajęcy, strzelonych przygodnie, 1 kszyk i 5 zdziczałych kotów. Był i szósty, ale się wyprosił od śmierci błagalnem miauczeniem, przywarowawszy w łubinie na odległość kroku od myśliwego. I został ułaskawiony...

Ruszyliśmy w tym dniu 32 stada, bardzo niekiedy liczne, i w przeważnej części takie, z któremi nie można było nawiązać żadnego kontaktu. Tak umiały uciekać, prowadzone zapewne przez starego, doświadczonego koguta.

W dniach 25 i 26 października polowaliśmy u p. Stefana hr. Dąmbskiego w Rudnej Małej. Pierwszego dnia w lesie na lisy i słonki, drugiego na eksponowanych na wypady kłusownicze polach głogowskich, na zające i kuropatwy; ubiliśmy w 8, wzgl. 5 strzelb: 5 lisów, 1 słonkę i 23 zające, 9 kuropatw, 1 bażanta-koguta i 1 kota. W kilku leśnych miotach widzieliśmy jelenie: wspaniałego czternastaka i kilka łań. Byk miał szczęście, bo wyszedł na prawidłowego myśliwego na odległość 14 kr. i stanął sobie spokojnie obok niego... Myśliwy, nie mając broni kulowej, nie strzelił do kuszącego celu (mimo, że właściciel miał odstrzał), bo zdawał sobie sprawę z tego, że jeleń to nie zając ani lis i że nie wolno przenigdy wypalić do niego ze śrutówki.

Kaczek dzikich mieliśmy niewiele. Wogóle daje się zauważyć w ostatnich czasach niepokojący zanik tej zwierzyny w całym kraju, nawet na Polesiu. Co go powoduje, niewiadomo. Być może przedewszystkiem owo podbieranie i niszczenie jaj kaczych przez wiejskich pastuchów na wiosnę, lub wyłapywanie i wybijanie klapaczy. Wszystkie wiejskie kundysy mają w tem doskonałą wprawę.

Cietrzewi i jarząbków również mamy mało. Te ostatnie występują w południowej, górzystej części powiatu, w lasach o mieszanym drzewostanie z przymieszką świerczyny. Z grubszej zwierzyny jest dość jeleni. Pełno ich w takich kniejach, jak w Bratkowicach, Mrowli, Budach Głogowskich, w Rudnej Małej, Zaczerniu i innych. Dzików niema, sarn niewiele.

Pokutuje jeszcze żałosny zwyczaj, że skoro tylko nadejdzie połowa maja, już się wybierają czem rychlej różni myśliwi na rogacza, na „wychodnego". Ledwie kozioł odetchnął i jako tako przyszedł do siebie po ciężkiej zimie, która mu groziła wielokrotną śmiercią, jeśli nie z głodu i zimna, to od śrutu kłusownika albo od pętli wnykarza, ledwie zaczął się wygrzewać w promieniach majowego słońca, skubać smaczne, soczyste listki, wycierać zbiedzone różki, zmieniać suknię i marzyć o słodkiej miłości, a już dybią na jego chude ciało różni uległalizowani nemrodzi, czy inni strzelcy, by z zasadzki przeszyć wrażą kulą jego radością tętniące serce i przerwać nić bujnego życia rzekomo dla rogów... Gdyby chociaż znali ilościowy i jakościowy stan rewiru!

Nic podobnego! Czyż nie lepiej przeczekać jeszcze kilka tygodni, ażeby użył wiosny i jej powabów, stężał i wytarł różki?

Niechaj zacznie się odstrzał o miesiąc później — 15 czerwca np. — Niechaj wprzódy poznają myśliwi dokładnie ilostan sarni

*) Wielkość powiatu w km^2., a obwodów łowieckich własnych i wspólnych w ha, tudzież inne ciekawsze szczegóły, odnoszące się do całokształtu gospodarki łowieckiej, podałem w artykule p. t. „Stosunki łowieckie w powiecie rzeszowskim". Vide „Łowiec Polski" Nr. 42 z dnia 19.X 1929. *(Przyp. aut.)*.

i zbadają stosunek płciowy. Niechaj także strzał bezmyślny i taki okrutny nie pozbawia życia osobników najcenniejszych, zdolnych do pozostawienia po sobie dorodnego pokolenia! Oto problemy, które rozwiązać może prawodawca i powinien to zrobić możliwie szybko na korzyść i dobro tej cudnej zwierzyny.

A teraz o zającach, jako że *„intra quadrupedes gloria primo lepus"*...

Było z niemi w tym roku gorzej, niż w zeszłym. Zawiodły na wszystkich prawie polowaniach zbiorowych. Tym myśliwym, którzy rachowali u siebie np. po 300 zajęcy w jednym dniu, sprawiły szaraki niemiłą niespodziankę, składając daninę z siebie zaledwie w połowie preliminowanej ilości, lub nawet poniżej setki.

Zapewne kapryśny marzec z opadami śnieżnemi i przymrozkami też zawinił, albo może owe małe jesienne „deptaczki" w kilka strzelb dla t. zw. „autopsji" urządzane, lub poważne „brony" przy wiosennej włóczce, orki marcowe i inne roboty polne... Dość, że ta zwierzyna nie dopisała.

Wszystkich gremjalnych polowań nie będę tu wyliczał, a ograniczę się jeno do wzmianki o kilku, dla wielu względów — typowych.

Pierwsze interesujące łowy jesienne urządził p. Witold Uznański w dniu 30 października na polach dworskich w Tyczynie. W 12 strzelb ubiliśmy tam: 85 zajęcy, 1 lisa, (drugi uszedł bez strzału), 16 kuropatw, 3 bażanty-koguty i 5 zdziczałych kotów. Widzieliśmy także liczne stada kuropatw, które, lecąc ponad głowami strzelców w błyskawicznem tempie, dawały miło sposobność do efektownych strzałów, ale także i do częstych pudeł.

Polowanie leśne w Przewrotnem u p. Stan. Politalskiego dało w dniu 18 grudnia w rezultacie 160 zajęcy, strzelonych w 9 miotach. Gdyby nie obfita okiść w zagajnikach i nie za długie pędzenia, byłby pokot znacznie większy. I na tem pięknem polowaniu, jak zresztą i na kilku innych, raziła zbyt wielka liczba strzelb (30!!!).

Również emocjonującem było polowanie w lesie w Mrowli u p. inż. Ilgnera, gdzie w dniu 3 stycznia br. ubito w 19 strzelb: 62 zajęce, 5 lisów, 2 rogacze i starą samicę gołębiarza. Strącił ją pięknym strzałem na linję p. dr. Adam Midowicz. Nazwę drapieżnika podaję wyraźnie, aby uniknąć stereotypowego, nic nie mówiącego określenia: „jastrząb". I w Mrowli widzieliśmy w kilku zakładach jelenie obu płci. Prowadził polowanie wzorowo syn gospodarza, p. Jerzy Ilgner.

Z polnych polowań wypadło wcale ładnie polowanie w Zwięczycy, gdzie w sześciu kotlach i jednem pędzeniu (po raz drugi) wiklin nad Wisłokiem strzelono w 17 strzelb w dn. 2 grudnia 135 zajęcy i 5 kogutów-bażantów. W początkach listopada polowano tam również na bażanty i zające i ubito: 18 bażantów i 45 zajęcy. Po raz trzeci jużby chyba nie wypadało szukać tam za czemś, bo mógłby ktoś sądzić, że chodzi o w y t ę p i e n i e zwierzyny...

Dobrem było też polowanie u p. dra A. Midowicza na polach Świlczy, gdzie w dniu 16 grudnia znalazło się przy udziale 17 strzelb na rozkładzie 132 zajęce i 1 lis.

Na wszystkich zespołach łowieckich, a było ich 36 w powiecie, z których zebrałem mniej więcej pewne dane statystyczne, ubito razem: zajęcy 2 418, lisów 17, rogaczy 4 + 15 na podjazd, 27 bażantów, siedm kotów, kilka krogulców i 1 gołębiarza. Gdy się jednak doda zające, zastrzelone na różnych innych polowaniach, np. powtórzonych, lub na terenach, leżących w części dawnego powiatu strzyżowskiego, przyłączonej obecnie do Rzeszowa, tudzież w gminach, na których polowanie należy do Ordynacji Łańcuckiej, wreszcie na obszarach, dzierżawionych przez spółki chłopskie, na „deptaczkach" i t. d., podskoczy ilość ubitych zajęcy co najmniej o 40%, co w sumie da się wyrazić liczbą 3.385 sztuk!

Było ich zatem jeszcze dość. Aż dziwić się należy, że tak wiele, gdy się weźmie pod uwagę, że ani o zające, ani o kuropatwy nikt tu prawie nie dba, nikt tej zwierzyny specjalnie nie ochrania, ani nie żywi. O jakiejś hodowli nawet mowy niema...

Liczy się poprostu na wszechmocne siły natury, na zasypane śniegiem oziminy, na klimat, na poczciwość wieśniaków, albo ja wiem, na co jeszcze, a gdy nadejdzie jesień i zima, eksploatuje się te wielkie bogactwa znowu bez ograniczenia i opamiętania i strzela się zwierzynę z jakąś sadystyczną pasją, bez doznawania uczucia przesytu. I cieszyć się trzeba, że manja rekordów do nas jeszcze nie dotarła. Przy systemie zaś polowań kociołkowych i przy nadmiernej niekiedy obsadzie strzeleckiej proceder wybijania dochodzi do zenitu.

Stara myśliwska zasada, że tylko ten polować powinien, kto zwierzynę hoduje, nie ma u nas zrozumienia.

Zapomina się także o tem, że myślistwo samo dostarcza najlepszej sposobności zbliżenia się do niefałszowanej przyrody i że strzał jest tylko zakończeniem tragedji zwierza na myśliwskiej zabawie.

Z rzetelną przykrością stwierdzić trzeba jeszcze fakt, że niektórzy właściciele wzgl. dzierżawcy łowisk kłusują nieomal u siebie, opolowując swoje tereny po k i l k a r a z y w sezonie. Inni znowu, ci wybitniejsi, do wyższej, myśliwskiej klasy się zaliczający, co dawniej polowali co d r u g i rok, odstąpili teraz od tej zbawiennej zasady, mimo, że polowania nie kalkulują się dobrze z powodu bardzo niskiej ceny zajęcy (1 zł. 40 gr.) i że dlatego nie opłacają się wcale.

W połowie stycznia zaś, gdy pańkotnia zaczęła się na dobre i gdy z powodu tego polowania skończyły się nareszcie, wieszają nasi myśliwi strzelby na kołku, lub oddają je do remontu i uspokojeni w swem myśliwskiem sumieniu, czekają znowu na jesień...

Żaden nie pomyśli nawet o tem, że teraz właśnie nadszedł jedyny, najlepszy czas, aby zająć się osamotnionem łowiskiem i otoczyć resztki zwierzostanu systematyczną opieką.

Wybrać się w pole lub do lasu, oglądnąć rewir dokładnie, podjechać i z d o b y ć lisa, myszkującego na roli, ubić g o ł ę b i a r z a, pożerającego spokojnie kuropatwę lub bażanta, oczyścić zagajniki z wron i srok, spotkać się niespodzianie z kłusownikiem, dla którego żaden czas ochronny nie istnieje, albo i z wnykarzem, odwiedzić strażników, skontrolować ich służbę, wydać konieczne dyspozycje, zapobiedz wreszcie przez odpowiednią akcję niszczeniu m ł o d e j zwierzyny przy wszystkich wiosennych robotach polnych — oto wielkie, ważne, a tak wdzięczne zadania dla u ś w i a d o m i o n y c h w całej pełni właścicieli i dzierżawców łowisk w miesiącach: lutym, marcu, kwietniu i maju.

WŁADYSŁAW GÜRTLER
delegat P. Z. S. Ł. na pow. Rzeszów.

Z POWIATU ZAWIERCIE.

Powiat zawierciański posiada powierzchni 94.300 ha., z których ca. 20.000 ha. jest lasów państwowych, ca. 7.000 ha. lasów prywatnej własności, reszta — pola orne i łąki.

Obwodów łowieckich zarejestrowanych jest w powiecie 95 — towarzystw i kółek łowieckich jest zalegalizowanych 4, z których dwa, mianowicie: Tow. Racjon. Myślistwa „Diana" w Zawierciu i Kółko Łowieckie w Porębie k/Zawiercia, są członkami Pol. Zw. Stow. Łowieckich w Warszawie. Ilość kart łowieckich, wydana przez starostwo w roku 1933, wynosiła 92.

Stan zwierzyny w powiecie naogół słaby, kuropatw wyjątkowo zadowalniający. Dzierżawcy terenów łowieckich, przeważnie mieszkańcy miast, nie zadają sobie trudu, aby zwierzynę, którą w sezonie polowań trzebią należycie, wpierw hodować, otoczyć opieką, karmić w porze zimowej i t. p. To wszystko kosztuje, a nikt kosztów tych ponosić nie myśli. Tereny łowieckie powiatu, to przeważnie drobne własności włościańskie, o glebie słabej, piaszczystej lub sapowatej, gdzie podniesienie zwierzostanu wymaga specjalnej opieki i starań, tymczasem gospodarka łowiecka wiele pozostawia do życzenia, a właściwie niema jej wcale.

Wyjątek pod tym względem stanowi Tow. Racj. Myślistwa Diana, w Zawierciu, gdzie gospodarka prowadzona jest wzorowo na dzierżawionych terenach łowieckich, a z prywatnych własności: majątek Rudnik i majątek Mijaczów, które zaprowadziły dużą hodowlę bażantów (na dziko), toteż na tych terenach, dzięki opiece, racjonalnemu odstrzałowi i troskliwości, zwierzostan z roku na rok stale się podnosi. To samo można powiedzieć o terenach dzierżawionych przez niżej podpisanych, gdzie zwierzostan, pomimo bardzo trudnych warunków hodowlanych, jest zadowalniający.

Część powiatu, od strony południowej, zalesiona jest lasami państwowemi, które ciągną się pasmem na pograniczu Śląska.

Lasy te, dzierżawione są jako tereny łowieckie częściowo przez Tow. „Diana", częściowo przez Tow. im. św. Huberta od sąsiedniego powiatu, częściowo zaś gospodarka łowiecka prowadzoną jest przez własną administrację leśną. Lasy te doniedawna puste pod względem zwierzostanu, obecnie, zawdzięczając kilkoletniej dobrej gospodarce dzierżawców, z każdym rokiem stają się ciekawsze. Gdzie dawniej na polowaniu zimowem padało 15—20 sztuk zwierzyny, co już za „udane polowanie" uważać było można, dzisiaj osiąga się rezultat 100 sztuk i więcej, nie opolowując całości terenów.

Ogólną bolączką, zresztą jak wszędzie, jest kłusownictwo i wnykarstwo, które w powiecie zawierciańskim najtrudniejszem może jest do zwalczenia. Powiat zawierciański, będący ze swego położenia początkiem ośrodka Wielkiego Przemysłu (dziś zamierającego), pod względem gospodarki łowieckiej i ochrony zwierzyny w trudniejszych, aniżeli inne powiaty, znajduje się warunkach. Większej własności ziemskiej, dającej pewną rękojmię tej ochrony, jest niewiele, a po wsiach — koloniach, gdzie w każdem takiem osiedlu nieraz po kilkunastu znajduje się bezroboczych, uchronić zwierzynę przed ich zaborczością jest wprost niewykonalne. Całe dnie, a często i noce wałęsają się gromady tych bezrobotnych po polach i krzakach, aby odrutować przesmyki i ścieżki zwierzyny, nierzadko urządzają sobie polowanie, tworząc małe kociołki, gdzie wymykającego się zająca zabijają pałkami, lub w dnie słoneczne, ciepłe polują z widłami na upatrzonego w kotlinie — cóż więc na takich terenach pozostać może. Jedynie tylko bezśnieżna zima ocali jeszcze te resztki, które ujdą od sideł, wnyków i pałek.

Policja państwowa, niezbyt zresztą liczna i zajęta innemi sprawami, mało zwraca uwagi na podobne przestępstwa; skargi, jakie wpływają do starostwa, przeważnie osądzone bywają zbyt łagodnie, co jeszcze więcej rozzuchwala innych i daje impuls do występku, w tych więc warunkach gospodarka łowiecka w powiecie rozwijać się nie może, a delegat często staje się bezradnym i bezsilnym.

Od dwóch lat zauważyć się daje zanik cietrzewi — kogutów, których na terenie powiatu było dużo, szczególnie w lasach państwowych, gdzie gospodarka leśna zaczyna być prowadzoną intensywniej, również słonki, których ciągi wiosenne były ongiś bardzo ładne, w roku ubiegłym nie pokazały się wcale.

ALEKSANDER STEINHAGEN,
KAZIMIERZ POLASKI,
delegaci P. Z. S. Ł. na pow. Zawiercie.

ZE STOWARZYSZEŃ ZWIĄZKOWYCH.

Z OTWOCKIEGO KOŁKA MYSLIWSKIEGO IM. SW. HUBERTA

Otwockie Kółko Myśliwskie im. św. Huberta należy do najstarszych organizacyj myśliwskich w kraju i ma za sobą lat działalności.

Tereny Kółka leżą w powiatach: warszawskim i garwolińskim, obejmując około 2.000 ha lasu, należącego do dóbr Otwock-Wielki (leśnictwo Torfy), a dzierżawionego od Wł. hr. Jezierskiego, oraz pola włościańskie.



Poświęcenie kapliczki św. Huberta na terenie leśn. Torfy.

Ze zwierzyny łownej na terenach swych Kółko posiada: sarny, zające, cietrzewie, kuropatwy, kaczki, bekasy i słonki. Niezależnie od powyższych od 1931 r. zaprowadzono hodowlę bażantów, która dzięki właściwej opiece i troskliwości dała zupełnie dobre rezultaty. W 1932 r. ubito już około 100 kogutów.

Otwockie Kółko, jak i wiele innych, napotyka na wielkie trudności co do rozwoju swych zwierzostanów z uwagi na rozpanoszone kłusownictwo i wnykarstwo. Na polu walki z tą plagą pracę Kółka wieńczą raz po raz dodatnie rezultaty dzięki odpowiedniej organizacji i środkom, stosowanym przez podległy personel łowiecki.



Wręczenie bronzowego Medala Zasługi Łowieckiej st. strażnikowi, Piotrowi Kowalskiemu.

Niedawno w walce tej odznaczył się st. strażnik Piotr Kowalski, którego na wniosek Zarządu Kółka, Polski Związek Stowarzyszeń Łowieckich odznaczył bronzowym Medalem Zasługi Łowieckiej.

Kółko liczy obecnie 20-tu członków, Zarząd zaś stanowią pp.: Jan Patzer (prezes), mec. Aleksander Tallen-Wilczewski (dyrektor), Alfred Szner (sekretarz), Tadeusz Lilpop (skarbnik) i Witold Bogusławski (gospodarz).

SPRAWOZDANIE Z WALNEGO ZEBRANIA KLUBU SETTRA ANGIELSKIEGO W POLSCE.

W dniu 31 stycznia b. r. odbyło się walne zebranie Klubu Settra Angielskiego w Polsce w lokalu Warsz. Tow. Łyżwiarskiego przy ul. Szopena Nr. 3/5.

Po zagajeniu zebrania przez prezesa Klubu, p. Stefana Piłsudskiego, na propozycję tegoż zebrani obrali na przewodniczącego p. inż. Józefa Skrzypka, a na sekretarza p. Zygmunta Barylskiego, poczem zostało odczytane sprawozdanie Zarządu z działalności Klubu za rok 1933 r., sprawozdanie kasowe i bilans za r. 1933, przedstawiający obrót w sumie zł. 910,50, sprawozdanie Komisji Rewizyjnej, oraz preliminarz budżetowy na r. 1934, które zostały jednogłośnie zatwierdzone.

Następnie dokonano wyboru przez aklamację władz Klubu na r. 1934, które ukonstytuowały się jak następuje: pp. mec. Stefan Piłsudski — prezes, Zygmunt Tarnowski — sekretarz, Antoni Brudnicki — skarbnik, jako zastępcy: pp. dyr. Witold Góra i inż. Jarema Wodzyński; do Komisji Rewizyjnej wybrano pp. Kazimierza Piłsudskiego, sędziego Walentego Garczyńskiego, inż. Józefa Skrzypka, Zygmunta Barylskiego i dr. Maksymiljana Łabędzia.

W wolnych wnioskach wreszcie, na wniosek Antoniego Brudnickiego, uchwalono powierzyć Zarządowi przestudjowanie projektu przekształcenia Klubu Settra Angielskiego na Setter Klub o dwóch sekcjach: settra angielskiego i settra irlandzkiego.

DO PP. POSIADACZY PSÓW RASY „SETTER ANGIELSKI".

Posiadacze psów rasy Setter Angielski, proszeni są o podanie we własnym interesie pod adresem Klubu Settra Angielskiego w Polsce, Warszawa, Al. Jerozolimskie 57/5 ilości posiadanych dorosłych psów i suk, ich nazw, wieku, maści i pochodzenia (rodowód), oraz swego nazwiska, zawodu i miejsca zamieszkania.

ZARZĄD KLUBU.

KŁUSOWNICTWO.

(*—jb.—*). W końcu ubiegłego miesiąca, niedaleko od wsi Wąsocz (pow. częstochowski) polował bezprawnie, na cudzym terenie łowieckim, znany w okolicy kłusownik, Andrzej Wroń.

W pewnej od niego odległości rozstawili się inni kłusownicy.

Przypadek zrządził, że któryś z sąsiadów, zamiast szaraka — postrzelił śrutem Wronia, dotkliwie raniąc go w ramię i podudzie.

Niezwłocznie po tym wypadku towarzysze zbiegli, a Wroń udał się na opatrunek.

Jakkolwiek Wroń milczy i sprawców swego bólu, a jednocześnie towarzyszów zakazanej wyprawy — wydać nie chce, policja jest już na tropie wszystkich kłusowników.

*

(*—jb.—*) Przed dziesięciu laty właściciel majątku Charcice i Izdebno (pow. Międzychód), Otton Hantelmann, wybrał się z żoną i dzieckiem na przejażdżkę. Zapadał już mrok, gdy w drodze powrotnej zauważono jakiegoś nieznanego mężczyznę, który starał się ukryć w przydrożnych kartoflach.

Zatrzymawszy powóz, Hantelmann krzyknął na nieznajomego, aby się zbliżył. Gdy wezwanie to nie odniosło skutku, Hantelmann wystrzelił z fuzji na postrach. I wówczas padł strzał zbrodniczy: Hatelmann osłabł i osunął się na siedzenie powozu, a nieznany sprawca zerwał się z kartofli i, korzystając z mroku — zbiegł.

Stangret ruszył do dworu, ranny jednak Hantelmann w drodze zakończył życie, na rękach zrozpaczonej żony.

Natychmiastowe śledztwo nie ujawniło osoby zbrodniarza.

W jakiś czas później w okolicznym lesie zamordowany został pewien organista, któremu zabójca zrabował kościelne pieniądze i papiery.

Zabójcą organisty okazał się niejaki Adam Matusik, nieuchwytny kłusownik i niebezpieczny bandyta. Aresztowano go i oddano sądowi, który skazał Matusika na 15 lat więzienia.

Karę tę skazany odsiaduje od lat dziewięciu w Rawiczu.

I teraz dopiero policja, dziwnym zbiegiem okoliczności, zdobyła materjał, świadczący, że mordercą Hantelmanna był właśnie ten sam Matusik.

Nowy akt oskarżenia już sporządzono.

Krytycznego dnia, jak wynika z dochodzeń, Matusik polował na rogacza. Zaskoczony niespodziewanem zjawieniem się dziedzica, rzucił się do ucieczki, obawiając się zaś, że zostanie postrzelony, wolał popełnić zbrodnię.

Matusik w więzieniu wcale nie okazuje skruchy i dokonanych zbrodni nie żałuje. Nie zasługuje on przeto na żadne względy, a przeciwnie — ponieść winien najsurowszą karę.

Na specjalne wyróżnienie zasługuje działalność leśniczego Boratyńskiego (leśn. Rafałówka), który z narażeniem życia prowadzi intensywną walkę z kłusownictwem, nie zrażając się niebezpieczeństwami, na jakie stale jest narażony.

W ciągu trzech lat jego urzędowania w leśnictwie zatrzymanych zostało ponad 20 kłusowników, częstokroć stawiających opór, a mianowicie ze wsi Wrelen: Jan Holczyk, Konrad Holczyk, Hariton Mizera, Piotr Stelmod i Iwan Szelamiej; ze wsi Żółkinie: Mikita Mortas, Stefan Mamczyc, Bazyli Szelamiej; ze wsi Łorki: Aleksy Dyborski, Jan Białobrzecki, Makar Szewczuk, Andrzej Michniewicz, Bazyli i Prokop Szelawieje, Trochim Szewhut i inni. Wszystkim odebrana została broń, oraz wytoczono im sprawy sądowe i ukarano od 3 do 6 miesięcznem więzieniem. Sprawa zaś o usiłowanie zabójstwa jest w toku dochodzeń.

Poza tępieniem kłusownictwa leśniczy Boratyński z zamiłowaniem zajmuje się hodowlą zwierzyny i ptactwa, będąc rzadkim przykładem dla okolicy.

Dzięki całkowitemu współdziałaniu policji państwowej we Włodzimiercu, stosunki myśliwskie uległy znacznej poprawie i kłusownictwo zmalało. Plagą w roku ubiegłym była wieś Polowle, gdzie 8 kłusowników urządzało stale polowania, grożąc bronią służbie leśnej. Dzięki wyjątkowej odwadze gajowego Pinczuka, do którego strzelano z zasadzki, oraz próbie zabicia mnie, wymienieni kłusownicy zostali wyłapani i sądownie ukarani. Z innych wsi zostało zatrzymanych jeszcze pięciu kłusowników, co w rezultacie dało spokój bliskiej okolicy.

*

Zato w sąsiednim powiecie pińskim, w gminie Kuchocka Wola dzieją się wprost nieprawdopodobne rzeczy. Kłusownicy w znacznej liczbie, bo 8 osób ze wsi Ostrowsk, (Antoni Marczuk, Piotr Marczuk, Silwester Nowak, Karp Korniejczuk, Dawid Djahończuk, Ochreniczuk i inni) stale zajmują się nielegalnem polowaniem, mordując zwierzynę i zastawiając sidła gdzie się da, w majątkach prywatnych, czy to w leśnictwach państwowych. Ludzie ci są dobrze znani miejscowej policji i całej okolicy, mają swego prowodyra, nikt im jednak nic zrobić nie może, gdyż policja nie współdziała i nie interesuje się tą sprawą, mimo, iż Marczuki za swe komunistyczne wystąpienia byli karani więzieniem. Poza myślistwem w wolnych chwilach palą niemiłych im chłopów, oraz kradną jawnie. Dopóki starostwo nie zajmie zdecydowanego stanowiska i miejscowa policja nie przedsięweźmie radykalnych kroków, nie można myśleć o normalizacji stosunków łowieckich na tym terenie.

TADEUSZ SZOL,
del. P. Z. S. Ł. na pow. Sarny

ROZMAITOŚCI.

Z OGRODU PRZYRODNICZEGO W ZAMOŚCIU.

(*zet.*). Jak nam komunikuje p. St. Miler, kierownik ogrodu przyrodniczego w Zamościu, w nocy 24 stycznia b. r. w ogrodzie przyszło na świat dwoje niedźwiedziątek.

Drobiazgów tych narazie nie widać zupełnie, gdyż siedzą zagrzebane w ściółce, w osobnym schowku obok wybiegu i prawdopodobnie dopiero za parę tygodni ukażą się na pierwszym spacerze z matką.

Narazie słychać tylko ciche skomlenia niemowląt, podobne do skomlenia małych szczeniąt.

Pan Miler podkreśla podziwu godny objaw instynktu macierzyńskiego samicy, która już przed kilku tygodniami wyrzuciła ze schowka niedźwiedzia — samca i odtąd nie dopuszczała go więcej do siebie. Natomiast codziennie zabierała mu ścieloną dla niego w drugim schowku słomę, przygotowując w ten sposób wygodniejsze gniazdo, w poczuciu bliskiego macierzyństwa.

Samica apetyt ma dobry. Samiec został całkowicie oddzielony od swej nowej rodziny.

JAK SCHWYTANO ORŁA.

(*zet*). W związku z wiadomością podaną w Nr. 3 „Łow. Pol." o ofiarowaniu ogrodowi przyrodniczemu w Zamościu przez p. Henryka Weycherta, właściciela maj. Szystowice, orła, schwytnnego w okolicznych lasach, ofiarodawca komunikuje nam, jak doszedł do jego posiadania.

Syn jednego z gospodarzy wsi Sołtysy udał się do gromadzkiego lasu — jak należy przypuszczać, w celu sprawdzenia co udało mu się złapać na zastawione wcześniej wnyki — i spostrzegł złapanego na jeden z nich zająca, a na nim siedzącego orła, zajętego spożywaniem szaraka.

Orzeł tak był zajęty swą ucztą, że chłopak, zdjąwszy z siebie marynarkę, nakrył nią ptaka, następnie zaś zdołał związać paskiem jego skrzydła i nogi i przynieść do domu.

Pan Weychert, dowiedziawszy się o tem, orła tego nabył i przesłał do Zamościa.

PRZEGLĄD WYDAWNICTW.

„OCHRONA PRZYRODY, ORGAN PAŃSTWOWEJ RADY OCHRONY PRZYRODY, ROCZNIK 13, KRAKÓW 1933.

Wśród bogatej treści ostatniego rocznika Ochrony Przyrody spotykamy dwa artykuły w dużym stopniu bezpośrednio interesujące świat łowiecki. Są to: „Rozmieszczenie i ochrona bociana białego w wojew. krakowskiem" Kazimierza Wodzickiego i „Z biologji krogulca" Jana Sokołowskiego. Obie te prace są doskonale opracowane i bardzo ciekawe w wielu szczegółach, zwłaszcza co do życia krogulca. Obie jednak, w stosunku do zagadnienia szkodliwości tych ptaków z punktu widzenia łowieckiego lub rybackiego, robią wrażenie tendencyjnie jednostronnych.

Jeżeli chodzi o bociana, to świat łowiecki dawno już ustąpił tradycjom polskim, otaczającym troskliwą opieką tego ptaka, będącego częścią składową krajobrazu, a żywiącego się przeważnie gadami i płazami, toteż od łowiectwa nie grozi mu bynajmniej żadne prześladowanie, a zjadane przez bociany młode zajączki, kuropatewki i t. p. myśliwi w większej części składają w ofierze sympatjom ku tym właśnie tradycjom. Świat rybacki jednak, mamy wrażenie, większe miałby pole do protestu przeciwko bocianowi na terenach racjonalnych hodowli ryb.

Wprawdzie dr. Wodzicki zalicza wypadki szkodliwości bocianów w gospodarkach łowieckich i rybackich do „przesądów" i to pochodzenia niemieckiego —„dawno już przez Niemców sprostowanego" — a z porównania pożywienia bociana, za dziadem swym, Kazimierzem hr. Wodzickim, znanym ornitologiem (1877) uznaje, że ptak ten jest pożytecznym ptakiem, ciekawem jest jednak oświetlenie tego „przesądu" w imię prawdy i zdanie sobie sprawy w sposób zupełnie jasny, jak dalece występuje szkodliwość bociana w łowiectwie.

Z mego osobistego doświadczenia (lata 1903—4) podaję następujące fakty. Spędzając wakacje szkolne w Żelechowie, ziemi siedleckiej (pow. Garwolin), miałem możność obserwowania wielkiej ilości bocianów, jakie tam stale przebywały, a przed odlotem stawały się na terenie Żelechowa niezmiernie liczne. Na własne oczy widziałem, jak trzy bociany zapadły na koniczynie w miejsce, gdzie krakając manipulowały nad czemś wrony, odpędziły je i same zajęły się akcją; podszedłem tam, spłoszonym bocianom odebrałem napół rozdziobanego, parotygodniowego zajączka.

W tym samym roku pastuchy przynieśli do domu bociana, którego złapali zaplątanego w krzak tarniny, gdzie wpadł za gonionym przez siebie zajączkiem. Bociana tego naznaczyłem, wypuszczając go na wolność, kładąc mu na lewą nogę nad stopą obrączkę cynkową.

Następnego lata, gdy znów zaobserwowaliśmy wielki nalot bocianów, a ówczesny właściciel Żelechowa, mój wuj ś. p. Zygmunt Ordęga, z powodu częstych stosunkowo wypadków atakowania na oczach ludzi zajęcy i młodych kuropatw przez bociany, wydał wyrok śmierci na złapane na gorącym uczynku — zabiłem sam znaczonego w roku ubiegłym bociana, gdy w odległości kilkudziesięciu kroków odemnie porwał w dziób jakiegoś ptaka z koniczyny. Była to kuropatewka.

Należy dodać, że Żelechów, jak i cała okolica, odznacza się dużą ilością łąk, błot i stawów zarybionych i że wogóle na całem Podlasiu „naturalnego" pożywienia bociany znajdują wbród.

Są jednak widać osobniki, które, zasmakowawszy raz w pokarmie z „dań łowieckich", wolą je od swego „powszedniego chleba".

Zabicie takiego bociana, nawet wobec tradycyjnej polskiej opieki nad tym gatunkiem, nie powinno w przyrodnikach, pracujących dla idei ochrony przyrody, wzbudzać ani oburzenia, ani zdziwienia, ani... ironicznych uwag, iż „tępią bociana ludzie o akademickiem wykształceniu", przyznając z drugiej strony, że „decydującą przyczyną zmniejszenia się bocianów" (na terenie Małopolski zachodniej w danym wypadku—przyp. mój) „jest z całą pewnością uregulowanie Wisły, szczególnie w jej górnym biegu, pociągające za sobą osuszenie podmokłych łąk".

Autor pracy o bocianie w woj. krakowskiem przyznaje również, że w wyjątkowych wypadkach może być mowa o szkodach, wyrządzanych przez bociany w gospodarstwach stawowych.

Uważam, że na ten temat powinni zabrać głos kierownicy i właściciele gospodarstw rybnych, mniemając, że straty, powodowane przez bociany w zarybku, są jednak o wiele większe od strat w gospodarstwach łowieckich.

*

„Z biologji krogulca" jest to praca niezmiernie ciekawa, jakkolwiek oparta na obserwacji życia jednego gniazda i dlatego w stosunku do łowiectwa uderzają w niej zbyt kategoryczne wnioski, ujęte w formę niewzruszalnych prawd, głoszonych *ex cathedra*.

Ale uderza w tej pracy coś więcej jeszcze. P. J. Sokołowski ubiera się w togę nieomylności do tego stopnia, że wpada w ton o charakterze: *Roma locuta-causa finita*.

A chociaż „możliwe, że po ukazaniu się w druku niniejszego artykułu pojawią się w pismach łowieckich obserwacje doświadczonych myśliwych, wykazujące czarno na białem, że nie znam sposobu łowienia samicy - krogulca i że setki razy widziano, jak chwytała kuropatwy lub gołębie — uprzedzam, że w ścisłość tego rodzaju informacyj nie uwierzę". Coprawda po polsku podobne postawienie kwestji nazywa się nieprzyzwoitem.

Ale — niema rady — schowajcie więc, koledzy - myśliwi, obserwacje swoje do jakiegoś wydania anegdot myśliwskich, bo ich p. Sokołowski nie uzna i nie pozwoli uznać innym. I pamiętajcie, że o życiu i sposobie żywienia się krogulca, o roli jego w łowiectwie hodowlanem zabierać głos mogą tylko „oczywiście ornitolodzy w ścisłem znaczeniu (a więc patentowani — *mój przypisek*), gdyż nie każdy kto strzela trzyma w klatce ptaki, lub w zimie rzuca ziarno za okno, jest już ornitologiem". Największa znajomość życia naszych drapieżników skrzydlatych, oparta na najstaranniejszej i nieustannej obserwacji całego życia myśliwskiego poszczególnych „niepatentowanych" ornitologów — nic nie znaczy.

To już nie powiem, jak mawiał Zagłoba, że w roku 1929 na polowaniu zbiorowem na zające w majątku Siennica pow. Mińsko-Maz. wł. p. Juljana Czarnockiego, w obecności wielu myśliwych, na tych samych i sąsiednich saniach, przy przejeżdżaniu z miotu do miotu, strzelałem do krogulca samca, który swym atakiem podjął z pola stadko kuropatw i gonił je zapamiętale na przestrzeni około 100 metrów, dopóki go nie odstraszyłem strzałem (dystans około 150 metrów nie pozwolił go nawet ranić), bo co to kogo może obchodzić! To był jakiś krogulec-warjat, pomylony...

A co do tego, czy „nieszkodliwość" krogulca wobec żywienia się jego wyłącznie, jak twierdzi p. Sokołowski, małemi ptaszkami (choć potrafi co półtorej godziny przynosić jednego ptaszka dla wyżywienia gniazda) jest tak niezaprzeczalna, gdyż „luka wytworzona w przyrodzie zamyka się bardzo szybko", niech na temat ten głos zabiorą leśnicy i ogrodnicy, którym ze względu na różnego rodzaju gąsienice, niszczące ich szkółki i kultury, zależy na jak największej ilości tych ptaszków.

I jeszcze jeden charakterystyczny zwrot p. Sokołowskiego. Cytuję go bez komentarzy.

„Gdybym nie był wiedział gdzie jest gniazdo krogulca, ptaki same nie byłyby mi go zdradziły. Coprawda w promieniu 50 m. można wpaść na trop gniazda i,znając obyczaje krogulca, odszukać je dość szybko. W jaki sposób — nie chcę zdradzić, gdyż nigdy niewiadomo, jakie uczucia względem drapieżników może żywić czytelnik".

To zwrot do nas, zaślepieni w rzekomej szkodliwości krogulca, koledzy myśliwi!

WUZET.

KRONIKA MYŚLIWSKA.

— Dnia 5 stycznia r. b. odbyło się doroczne polowanie leśne na terenach państwowego nadleśnictwa Pobołowice (pow. Chełm lubelski), dzierżawionych od szeregu lat przez pp. Władysławostwa Trąbczyńskich.

Udział w polowaniu wzięło 19-tu myśliwych z panią Trąbczyńską na czele. Rezultat wypadł zadowalniająco, ubito bowiem w 13-tu pędzeniach 134 zające. We wszystkich prawie miotach na szeregu stanowisk obserwowano sarny, których w łowisku tem jest obecnie pełno, dzięki doskonałym warunkom terenowym i karmowym oraz należytej ochronie. Zające

bardzo wiele uszło bokami i przez linję naganki. Lisy nie dopisały. Organizacja polowania była znakomita.

Należy podkreślić, że w chwili wydzierżawienia terenu przez p. Trąbczyńskiego zwierzostan był nadzwyczaj nikły, a pierwsze próbne polowanie przed laty dało smętny rezultat dwudziestu kilku zajęcy. Obecny dzierżawca, zamiłowany gospodarz łowiecki i jego opiekun, potrafił przy odpowiedniej organizacji ochrony zwierzyny od plagi kłusowniczej i zapomocą nakładu trudów i gotówki uczynić swe łowisko kwitnącem.

W ustawicznej walce z kłusownikami, w czem dopomagają mu dzielnie władze nadleśnictwa, pod kierownictwem gospodarza terenu odznaczyli się państwowi gajowi Harliński i Kowerda, z których pierwszemu, jako szczególnie wybitnie zasłużonemu, na wniosek p. Trąbczyńskiego, Polski Związek Stowarzyszeń Łowieckich przyznał bronzowy Medal Zasługi Łowieckiej.



Po dekoracji gaj. Harlińskiego bronzowym Medalem Zasługi Łowieckiej.

W przerwie obiadowej podczas polowania dekoracji Harlińskiego dokonał obecny tam p. Władysław Zabiełło, członek ścisłego Komitetu Redakcyjnego „Łowca Polskiego", który wygłosił przytem krótkie przemówienie wobec zebranych myśliwych i 150 ludzi z naganki, podkreślając działalność P. Z. S. Ł. w zwalczaniu kłusownictwa i ogólne znaczenie Związku dla naszego łowiectwa.

Gości podejmowali serdecznie Gospodarstwo, wśród niezwykłej gościnności których, w serdecznym nastroju miło upłynął wybitnie pogodny dzień kniei i stołu, jasno zapisując się w sercach uczestników myśliwskiej biesiady.

W dniu 13 listopada r. ub. w majątku Lipie (pow. częstochowski), którego właścicielem jest p. Aleksander Steinhagen, odbyło się doroczne polowanie, na którem w 14 strzelb, w jednej sztrajfie, dwóch kotłach i 13 pędzeniach leśnych, upolowano 407 zajęcy, 286 bażantów, 40 kuropatw i 6 królików. Warunki polowania były bardzo niesprzyjające, zwłaszcza w lesie, ze względu na obfity śnieg, który upadł w przeddzień polowania.

— W dniu 22 grudnia r. ub. na dzierżawionym przez p. Aleksandra Steinhagena od dwóch lat terenie łowieckim miasta Krzepice (pow. częstochowski), odbyło się pierwsze polowanie, na którem w 14 strzelb, w trzech małych pędzeniach leśnych i trzech kotłach w polu, upolowano 301 zajęcy, 1 bażanta i 1 królika. Taki rezultat udało się osiągnąć dzięki znakomitej ochronie terenu przez strażnika łowieckiego i dzięki współdziałaniu policji państwowej w Krzepicach, jak również surowemu wymiarowi kar, stosowanemu przez starostwo w Częstochowie za przestępstwa łowieckie, przez co w krótkim czasie możliwem było unieszkodliwienie rozpanoszonego w tutejszych okolicach kłusownictwa.

— W sezonie łowieckim 1933/34 odbyły się w dobrach Wierzchowiska Jana Koźmiana (pow. lubelski) następujące polowania:

W dniach 4 i 5 września polowano na kuropatwy przy udziale 14 strzelb, w 10-ciu pędzeniach i 6-ciu sztrejfach podniesiono 1214 kuropatw, 9 przepiórek, 4 gołębie, 2 jastrzębie, 7 różnych, razem sztuk 1236. Najwięcej na rozkładzie miał p. Henryk Chełmicki — 173 sztuki.

Dnia 4 listopada w 9 strzelb, w pędzeniach leśnych podniesiono 2 dziki (odyniec i warchlak), 3 lisy, 147 bażantów, 2 słonki 129 zajęcy, 31 kuropatw, 1 jastrzębia, 2 różne, razem sztuk 317. Najwięcej na rozkładzie miał p. Jan Pełkowski — 58 sztuk (1 dzik). Odyńca ubił p. Wł. hr. Scipio.

Dnia 17 stycznia 1934 polowano na dziki przy udziale 14 myśliwych, w ośmiu pędzeniach ubito 13 dzików (3 odyńce 1 wycinek, 4 lochy, 5 warchlaków) i 2 lisy.

Myśliwi mieli na rozkładzie: Pp. Zygmunt Krzymuski 3 dziki (1 odyniec), Maurycy hr. Potocki 2 dziki (1 odyniec), Ludwik Pułaski 1 dzika (odyniec), pani Andrzejowa Koźmianowa 1 dzika, Włodzimierz hr. Scipio 1 dzika, 1 lisa, Mieczysław Bronjewski 1 dzika, Tadeusz Siemieński 1 dzika, Andrzej Koźmian 1 dzika, Wojciech Michalski 1 lisa, gospodarz 2 dziki.

W sezonie 1933/34 ubito w Wierzchowiskach: 15 dzików, 4 rogacze, 7 lisów, 139 zajęcy, 147 bażantów, 2 słonki, 1304 kuropatwy, 10 przepiórek, 12 różnych. Razem sztuk 1640.

— W Horodnicy (pow. Kopczyńce), maj. Józefa ks. Jabłonowskiego, odbyło się dwudniowe polowanie na dziki i zające. W 8 strzelb ubito 7 dzików, 4 lisy i 260 zajęcy.

Najwięcej na rozkładzie miał ks. Jabłonowski (7 dzików); w polowaniu udział brali pp.: hr. Kontowski, Czarkowski-Golejewski, Brykczyński, kpt. Amon, Tolkacz i Kwaśniewski.

Redaktor odpowiedzialny: Walenty Włodzimierz Garczyński. Wydawca: Polski Związek Stowarzyszeń Łowieckich.

PRENUMERATA: Zgóry za kwartał zł. 7.50; za pół roku zł. 15; za rok zł. 29. — Miesięcznie 2.50. — Numer pojedyńczy — 1 zł. Numer ozdobny 1 zł. 50 gr. Za numery, które wyszły przed zapłaceniem, liczymy po 1 zł. Za zmianę adresu 50 gr. Za numer reklamowany w przeciągu miesiąca — 25 gr.

CENY OGŁOSZEŃ: Milimetr za tekstem 60 gr. Cała strona — 300 zł.; 1/2 — 150 zł.; 1/4 — 75 zł.; 1/8 — 40 zł. Przed tekstem — 50% drożej. Za zastrzeżone miejsca dopłaca się 25%.

Drobne ogłoszenia — płatne zgóry — po 10 gr. za wyraz; handlowe po 20 gr.; grube litery — po 20 gr.; najmniejsze ogł. — 2 zł. Znaki pisarskie liczą się za wyrazy.

W numerach ozdobnych: Za tekstem 1 milim. 90 gr. Cała strona 450 zł.; 1/2 — 225 zł.; 1/4 — 115 zł.; 1/8 — 60 zł. Przed tekstem 50% drożej. — Za zastrzeżone miejsca dopłaca się 25%. — Agentom nie wolno pobierać zaliczek.

ADRES: NOWY ŚWIAT 35. TELEFON REDAKCJI, ADMINISTRACJI 607-98. KONTO P. K. O. Nr. 8082.

Rękopisów redakcja nie zwraca i zastrzega sobie prawo czynienia zmian i skrótów w nadsyłanych artykułach, oraz decyzji co do terminu ich umieszczenia. Prosimy o nadsyłanie rękopisów wyłącznie pod adresem redakcji.

Redaktor przyjmuje rozmowy telefoniczne oraz interesantów w swem mieszkaniu prywatnem (Kredytowa 18 m. 3, tel. 604-25), codziennie, prócz sobót, między 4-ą i 5-ą pop.; w redakcji — w poniedziałki od 6-ej do 7-ej pop. — Biuro czynne od 9 do 3-ej i od 5-ej do 7-ej wiecz., w sobotę do godz. 3-ej.

Zarząd i Sekretarjat Polskiego Związku Stowarzyszeń Łowieckich tel. 6 66-15.

LUTY.

Na Gromniczną niedźwiedź już ze snu się budzi:
Gdy mróz — budę wali, gdy odwilż — tkwi w budzie.
Wilki cieczkę kończą, a grzeje się liszka,
Ryś i żbik się marczą, jak swojskie kociska,
Więc strzałami sztućców wciąż jeszcze grzmi las
Lecz wnet dźwięknie halali. A wtedy niech wczas
Łowiec odda swą wszelką do Dmytracha broń,
By ją — jak Woronow — odmłodził. Jego dłoń
Lufy odołowi, wizjer zreguluje,
Dokładnie ostrzela, odświeży — zmontuje.

*

Tak chce przykazanie Łowcy przezornego:
Dbać o broń swą, jakby o siebie samego.

E. DMYTRACH, LWÓW, LEGJONOWA 3.

Zakł. Druk. F. Wyszyński i S-ka. Warszawa.